MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 38. WARSZAWA, 21 WRZEŚNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

JAK W WIEKU 18-TYM

POWSZECHNE niemal jest już dzisiaj w Polsce zrozumienie, że stan naszych spraw na gruncie międzynarodowym nie jest pomyślny, a napór nietylko na zmiejszenie znaczenia naszego państwa w świecie, ale także na okrojenie jego obszaru, rozwija się wręcz groźnie i już niemal szturmowo.

W rzeczy samej, niemieckie dążenia do zmiany granic wyszły z okresu niedomówień. Jeszcze w chwili oderwania zrabowanych ziem polskich, na Konferencji Pokojowej w Paryżu w r. 1919, Niemcy tylko nieśmiało i płaczliwie usiłowały wyżebrać jakieś ustępstwa ze sprawiedliwości na wschodzie potulnością w stronę zachodu. Jeszcze w Locarno w r. 1925 tylko okrężnie i podstępnie wprowadzały rozróżnienie nietykalności granic zachodnich i wschodnich. Jeszcze w czasie przygotowawczych rokowań o odszkodowania w r. 1929, jako wstępu do wyjścia wojsk francuskich z Nadrenji, wykręcały się urzędowe Niemcy z napomykań prezydenta Banku Rzeszy p. Schacht'a o konieczności odzyskania ziem, zwróconych Polsce. Ale po zwolnieniu Nadrenji, w r. 1930, jest hasło urzędującego ministra p. Treviranusa, przybocznego polityka Prezydenta Rzeszy von Hindenburga, stawiające na pierwszem miejscu najbliższych zadań polityki Niemiec sprawę zmiany granicy polsko-niemieckiej, czyli odcięcie Polski od morza. Niema podpisu w Wersalu w r. 1919, niema ducha Locarna w r. 1925, są wybory odwetowców Hittler'a z 14-go września 1930, bez niedomówień.

Polska dzisiejsza wieku 20-go nie może powtórzyć straszliwej lekkomyślności, ślepoty, błędów, i win Polski upadającej, wieku 18-go.

I wówczas napór, wiodący ku rozbiorom, szedł przedewszystkiem upartem dążeniem Fryderyka II-go do pozyskania Pomorza polskiego, nad dolną Wisłą, między Toruniem i Gdańskiem, celem złączenia Prus Wschodnich i Królewca z Brandenburgją i Berlinem, a Polska patrzyła na to, rok za rokiem, bezmyślnie, beztroskliwie, bezczynnie.

Co nas wtedy gubiło, odbierało nam wszelkie widoki pomocy przeciw zacieśniającemu się spiskowi zaborców, dodawało zuchwałości łupieżcom?

Niewiara świata w zdolność Polski do prawidłowego życia państwowego.

Wystarczy czytać ówczesną tajną korespondencję dyplomatyczną, wystarczy rozejrzeć się w książkach współczesnych, przedstawiających stan rzeczy w Polsce, wystarczy przerzucać rozliczne wzmianki pamiętnikarskie, podróżnicze, dziennikarskie owej doby, aby ujrzeć widomie i wyraźnie wyrok zagłady nad Polską, wsączający się w sumienia i umysły świata.

I dzisiaj Niemcy nie na co innego liczą.

Niemcy wiedzą doskonale, że sprawiedliwość jest po stronie Polski, bo nasze Pomorze odwiecznie było polskie i dzisiaj ma zaludnienie w olbrzymiej przewadze polskie. Niemcy wiedzą doskonale, iż prawo jest po stronie Polski, bo postanowienia traktatowe zapewniają nienaruszalność naszego obszaru. Niemcy wiedzą, że zdrowy rozsądek jest po stronie Polski, bo nasz bezpośredni i pełny dostęp do morza jest ważniejszy, niż bezpośrednia łączność Prus Wschodnich z Rzeszą.

Ale Niemcy liczą na to, że świat znowu powie sobie, jak półtora stulecia temu:

— Polska jest krajem nieładu i rozstroju, Polska nie umie żyć prawidłowo i spokojnie, Polska nie umie się rządzić, Polska nie jest czynnikiem pewnym w układzie życia europejskiego, nikt nie wie, ku czemu idzie Polska.

Oto najistotniejsza rachuba Niemiec.

A gdzie powinna być wielka siła Polski?

Nie w tem, że będziemy mieli dość uzasadnień, aby umiejętnie, przekonywująco, zwycięsko... kłócić się z Niemcami o to, czy... trzeba nam odebrać Pomorze i dostęp do Bałtyku, czy też może lepiej nie.

Ale w tem, że byt Państwa Polskiego otoczony będzie taką powagą, takiem uznaniem, taką przyjaźnią, takim szacunkiem w świecie, że wogóle

spór taki nie będzie mógł być poważnie wytoczony. To jest ten okop, którego trzeba bronić. Gdy ten będzie przełamany, pozostaje już tylko słabizna i niepewność.

Czy Polska dzisiejsza ma tę powagę w świecie, czy ustala się zrozumienie, czem ona jest i czem chce być i czem będzie, czy rośnie uznanie i szacunek dla niej, czy mówią sobie gdziekolwiek w przodującym świecie zachodnim ludzie: moglibyśmy im w Polsce pozazdrościć, chcielibyśmy, aby u nas tak było, oto wzór poważnej pracy?

Tylko w świetle tych pytań zrozumieć można znaczenie ostatnich zdarzeń w Polsce na gruncie zagranicznym i wrażenie, jakie one tam wywrzeć musiały.

Trzeba stwierdzić, że odrodzenie państwowe Polski zjawiło się na widnokręgu świata w słońcu i cieple dobrych uczuć dla nas daleko i daleko od naszej ziemi. Było naprawdę coś wielkiego i coś wzniosłego w tych uniesieniach radosnych, któremi w czasie wojny i po jej zwycięskiem zakończeniu tysiączne rzesze zgromadzeń we Francji, czy w Italji, czy w Anglji, czy w Ameryce, witały wskrzeszenie z grobu sprawy polskiej, a potem i samej zmartwychwstającej Polski. Rzekłbyś, ulgę odczuły sumienia miljonów ludzi w świecie, które zagładę wielkiego narodu w środku Europy w dobie nowoczesnej uważały za hańbę dziejów. W rozterce myśli ludzkiej i złamaniu serc, wobec morza krwi i bezmiaru ofiar wojny światowej, było odbudowanie Państwa Polskiego jednem z tych największych, najpromienniejszych, najczystszych świateł, ukazujących duszom ludzkim, że trud nie był daremny i ofiary nie szły na marne! Polska była, rzec można, radością serc miljonów ludzi uczciwych w świecie, którzy szczerze i gorąco pragnęli, poprostu dla własnej wiary w dobro i wyższy cel życia ludzkości, by nasze odrodzenie jak najpomyślniej się powiodło.

Zapytajmy dzisiaj, jako zbiorowość narodowa, w sumieniu własnem i w spokojnym sądzie umysłów: co ci ludzie muszą myśleć i czuć dzisiaj?

Cóż widzieli i widzą?

Naprzód owo cudne i potężne zjawisko odnalezienia się, po stuletnich zgórą podziałach, a miejscami kilkusetletnich oderwaniach, narodu z jednej bryły nad brzegiem Bałtyku i nad Wartą i nad górną Odrą Śląską i u źródeł Wisły i po Zbrucz i poza Bug i nad Wilją. Potem wysiłek ku zgodzie, wyobrażony jednomyślnym wyborem Naczelnika Państwa w lutym 1919 z Paderewskim na czele Rządu, Trąmpczyńskim na czele Sejmu, Dmowskim na Konferencji Pokojowej w Paryżu. Potem żmudne umacnianie zrębów Państwa, przerwane chmurnie z początku, lecz ostatecznie chlubne odparcie najazdu wschodniego, i znowu dalsze prace ustrojowe, gospodarcze, polityczne, często chwiejne i zaburzane zmaganiem się prądów i kierunków, ale krok za krokiem utrwalające państwo nawewnątrz i usadowianie się jego poważne we współpracy międzynarodowej.

Nagle przewrót z połowy maja 1926. Zamach stanu, zrzucenie Prezydenta i Rządu, oparcie nowych rządów przedewszystkiem na przemocy zbrojnej, a tylko powierzchownie i z wyłomami na ustroju prawnym. Zwrot w rozwoju na tory nowe, mniej dostępne dla umysłów zachodnich, budzące już wątpliwości, co to jest i co to będzie.

Ale ostatecznie bywa tak i bywało w dziejach wszystkich narodów, dawniej lub mniej dawno, że są wstrząsy, a potem wszystko układa się znowu ku prawidłowemu, uspokojonemu, twórczemu biegowi rzeczy.

U nas obecnie mija jeden rok, drugi, trzeci, czwarty, bieży piąty. A znamieniem głównem, najistotniejszem, rozstrzygającem, tego nowego okresu jest to, że lata upływają, a nic się nie wyświetla. Jedna wielka tajemnica, co to jest, co to będzie. A ta tajemnica, w dodatku, na tle wcale nie ogólnej pomyślności, ale właśnie coraz bardziej zgęszczających się niepowodzeń gospodarczych i politycznych.

W takich razach jedyną możliwą ostoją dla życzliwej zagranicy jest, jeżeli może sobie powiedzieć: przewrót się skończył, a teraz znowu jest spokój, jest praca, jest budowa, której zarysy widać.

Tymczasem u nas, nietylko przez cztery lata nieustanne widowisko jaskrawości w słowach i czynach, budzące w świecie zdumienie, poszepty, ubolewania, szyderstwa, ale w piątym roku... zaostrzenie jeszcze gwałtowniejsze, niż kiedykolwiek dotychczas.

Po aresztowaniach w nocy z 9-go na 10-ty b. m. przewódców stronnictw, byłych ministrów i kierowników rządu, świat zagraniczny musiał sobie powiedzieć:

— To się wcale nie kończy, to się zaczyna... To się nie uspakaja, to się zaognia... To się nie wyjaśnia, to się pogrąża w nowe niepewności.

Różnych rzeczy można wymagać od zagranicy, ale zgoła wymagać nie można, by rozumiała, uznawała, szanowała u innych, czego nie rozumie, nie uznaje, nie szanuje u siebie. We Francji wiedzą, że, jak tam jest prawica p. Marin'a, jest lewy środek p. Herriot'a czy p. Painlevé'go, jest socjalistyczna lewica p. Paul-Boncour'a i t. d., tak u nas w Sejmie jest prawica p. Rybarskiego, jest lewy środek p. Witosa, jest lewica p. Thugutta, jest socjalistyczna lewica p. Barlickiego, ale jak przywykła Francja do tego, że nie bierze się w nocy do więzienia pp. Marin'a, Herriot'a, Painlevé'go, czy Paul-Boncour'a, tak też nikt jej w głowę tego nie wbije, że jest wszystko w porządku, jeżeli bierze się pp. Dębskiego, Witosa, Bagińskiego, Barlickiego i wielu innych, zupełnie tak samo, jak nikt tego nie uzna za prawidłowe w Anglji czy w Ameryce. Nikt zagranicą ani przez chwilę nie zawaha się w stwierdzeniu, że Polska ogarnięta jest niepokojącym wstrząsem.

Co więcej, zjawi się tam i będzie uwypuklał się w umysłach znak zapytania, czy aby blisko dwunastoletnie życie państwowe odrodzonej Polski nie jest jakiem głębokiem nieporozumieniem. Jakto, będą się gubić w dociekaniach, więc człowiek, który w r. 1920 stał na czele Rządu Obrony Narodowej, w r. 1923 był znowu prezesem ministrów i w r. 1926 po raz trzeci, nadaje się z państwowego stanowiska do więzienia, razem z gronem b. ministrów, b. wojewodów, b. posłów, obecnie więzionych? Czy wtedy, w r. 1920, było jakieś wielkie nieporozumienie i Polska traciła czas na manowcach, czy teraz, w r. 1930, jest coś zepsutego w pojęciach i w życiu i Polska traci czas na bezdrożach? W którą stronę świat zachodni musi sobie rozstrzygnąć te pytania, na podstawie swych ustalonych poglądów o życiu państwowem, nie jest wogóle rzeczą wątpliwą.

Lecz, co najważniejsza, świat zachodni staje znowu wobec wyjaskrawionej niepewności, co u nas jest i co będzie. A życie współczesne jest szybkie, sprawne, rachunkowe. Wstawianie w ra-

chunki niepewności jest zbytkiem i byłoby nieoględnością, na które nie może ono sobie pozwalać. Na czynniki niepewne i tajemnicze mogą ludzie świata współczesnego patrzeć z ciekawością, ze zdziwieniem, ze zgorszeniem, ale z rachunku kół kierowniczych czynniki niepewne się wyłącza. To jest ta najprostrza droga, którą państwa, ogarnięte niewyraźnemi prądami, dostają się na obwody lub zgoła poza obwód trzeźwych rachub życzliwych, a stają się podatniejszym przedmiotem rachub nieżyczliwych.

Polska wieku 18-go nie rozumiała, że jej ponura swoistość ówczesna, obca światu swą burzliwą nietwórczością, rwała te nici między nią a światem, na których przecięcie, gdyby były niezliczone i żywe, jak bywa w prawidłowym bycie narodów, nie byliby mogli targnąć się zaborcy.

Polska odrodzona wieku 20 go stoi przed tem samem niebezpieczeństwem.

STANISŁAW STROŃSKI

ZE STOSUNKÓW POLSKO-ROSYJSKICH W PRZESZŁOŚCI

W CIĄGU ostatnich kilku miesięcy w prasie naszej dużo się pisało o Rosji i Rosjanach i stosunku ich do Polski i Polaków. Chodziło oczywiście głównie o teraźniejszość i przyszłość, ale zawadzano nieraz o przeszłość, wypowiadano przytem wiele twierdzeń błędnych, a nawet wprost fałszywych. Ponieważ dla znacznej już części inteligencji naszej przeszłość przedwojenna mało jest znana, spisałem przeto o tej dawniejszej przeszłości garść wspomnień osobistych, które przyczynią się może do ustalenia prawdy.

Wychowany w domu ziemiańskim na pograniczu dawnego Państwa Polskiego z Rosją, z urzędnikiem Rosjaninem i z językiem rosyjskim zetknąłem się po raz pierwszy w siódmym roku swego życia. Było to w okresie wzmożonej rusyfikacji, po klęsce powstania i zniesieniu samorządu stanu szlacheckiego, który miał uprzednio w swem ręku administrację powiatową. Do mojej matki, która po śmierci ojca rządziła majątkiem, przyjechał w jakimś interesie świeżo mianowany urzędnik — Rosjanin. Przytulony do matki, spoglądałem na niego z nieufnością i niepokojem, wtem zwrócił się on do mojej matki, z powodu jakiegoś jej powiedzenia do mnie, z upomnieniem, że należy obecnie do dzieci przemawiać po rosyjsku. Matka moja odparła z oburzeniem, że jest to jej sprawa prywatna, do której wtrącać się nie ma on prawa. Byłem niemym świadkiem tej sceny, ale w dziecięcem swem serduszku gorącą uczułem nienawiść.

Podobne uczucia wzbudzały we mnie wieści o rozmaitych represjach, które spadały na moich krewnych lub na ogół Polaków. Wcześnie rozpoczęta nauka historji polskiej i zapoznawanie się z niecenzuralną literaturą podsycały moją nienawiść do Rosji, nie odróżniałem wówczas oczywiście państwa od społeczeństwa. Mimo to musiałem rychło rozpocząć naukę języka rosyjskiego, bo wszystkie szkoły publiczne na ziemiach wschodnich, zostały już zrusyfikowane. Dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności (skazana w r. 1863 na wygnanie do Rosji, ciotka moja otrzymała prawo zamieszkania w Królestwie Kongresowem), trafiłem do gimnazjum 2-go (przezwanego potem 3-em) w Warszawie i w r. 1868 zdałem egzamin do 2-ej klasy po polsku. Gdy się rozpoczęły wykłady, odbywały się one już w języku rosyjskim, ale nie było Rosjan śród moich kolegów, władze gimnazjalne i większość nauczycieli składała się z Polaków. Nieliczni Rosjanie zachowywali się przyzwoicie, niektórzy z nich nawet cieszyli się sympatją uczniów. Rusyfikacja szkół postępowała w szybkiem tempie i w lat parę po mem wstąpieniu do gimnazjum nowo nasłani Rosjanie objęli już kierownictwo gimnazjum i wiele posad nauczycielskich, uczniom zaś zakazano w obrębie gimnazjum rozmawiać z sobą inaczej, jak po rosyjsku.

Z nowych pedagogów, dwaj szczególniej zapisali się ponuro w pamięci mojej i kolegów. Pierwszym był inspektor Troickij, brutalne indywiduum, podkradające się pod drzwi klas i wyłapujące uczniów, rozmawiających z sobą po polsku, za co zatrzymywano nas po lekcjach w klasie na pewien przeciąg czasu. Bardzośmy go nie lubili, ale jeszcze większą nienawiścią pałaliśmy do dyrektora, Mitrofana Stiefanowicza, który wykładał też język rosyjski w wyższych klasach. Udawał on człowieka o wzniosłych aspiracjach i wielbiciela poezji, szczególnie cenił przytem Goethego, którego zresztą, w swem popowsko-małoruskiem wymawianiu, nazywał „Hiete". Kazał on nam uczyć się na pamięć nieprzychylnego dla Polaków wiersza Puszkina „Oszczercom Rosji", komentując go nadto w sposób niezgodny z myślą autora i bardziej dla Polski wrogi. Pewnego razu oświadczył nam w klasie, że „Polacy przewąchali, iż rząd rosyjski zamierza uwłaszczyć włościan w Polsce i dlatego urządzili w r. 1863 powstanie". Kłamliwe i nikczemne te słowa kazał nam Stiefanowicz za sobą powtarzać i my przejęci strachem nie opieraliśmy się, pomimo głębokiego upokorzenia, jakieśmy odczuwali.

Podczas ostatnich lat pobytu w gimnazjum, za pośrednictwem swego krewnego, studenta petersburskiego, zapoznałem się z literaturą socjalistyczną w języku rosyjskim. Obrazy krzywd społecznych i upośledzenie warstw niższych zrobiły na mnie wrażenie. Wkrótce zaliczałem już siebie do socjalistów i jednocześnie zaszła zmiana w stosunku moim do Rosjan: zacząłem odróżniać od rządu społeczeństwo rosyjskie i żywić sympatję dla pewnej jego części. Zacząłem też zaznajamiać się lepiej ze współczesną literaturą rosyjską, która również odegrała poważną rolę w formowaniu moich przekonań. Dziś jeszcze nie mogę bez wzruszenia przypominać sobie pewnych ustępów z poezyj Niekrasowa, które wywarły na mnie wrażenie w okresie mojej wczesnej młodości.

Przeżycia całego pokolenia moich rówieśników w zaborze rosyjskim były analogiczne z wyżej zaznaczonemi mojemi. Już na ławie szkolnej przesiąkali oni nienawiścią do Rosji. W ósmem

zaś dziesięcioleciu wieku XIX śród naszej młodzieży uniwersyteckiej zaczął się szerzyć ruch socjalistyczny, którego promotorami w Warszawie byli w znacznym stopniu studenci rosyjskich wyższych zakładów naukowych w Petersburgu, Moskwie i Kijowie, bezpośrednio stykający się z rosyjskimi działaczami socjalistycznymi. Nawiązało to nić sympatji między młodą inteligencją polską a rosyjską. Z początku doktrynę w Polsce i Rosji brano żywcem z Zachodu (zwłaszcza z Niemiec), nie było więc pod tym względem różnicy między Polską a Rosją. Z biegiem czasu zarówno Polacy, jak i Rosjanie opracowali dla siebie programy samodzielnie, ale bądź co bądź były one pokrewne i wspólnym był wróg — rząd rosyjski. Gdy nawet partja „Narodnej Woli" przerodziła się niemal całkowicie w stronnictwo, dążące do wolności politycznej, energja, z jaką zwalczało ono rząd, znienawidzony przez wszystkich Polaków, budziła w kraju naszym szacunek i podziw. Poszczególni Polacy brali też czynny udział w rosyjskiej walce terrorystycznej, wiadomo przecież, że car Aleksander II poległ od bomby, rzuconej na ulicy Petersburga przez Polaka, Hryniewieckiego.

W okresie popowstaniowym bardzo wielu Polaków mieszkało w Rosji, już to w charakterze wygnańców politycznych, już to w charakterze poszukujących pracy, której uzyskanie w kraju władze im utrudniały. Wielu z nich wróciło do kraju, zwłaszcza w okresie konstytucyjnym, oraz po wojnie, wszyscy oni bodaj zachowali dobre wspomnienie o społeczeństwie rosyjskiem i o stosunku jego do nich. Z moich obserwacyj wynika, że złożyło się na to wrażenie kilka przyczyn. Przedewszystkiem społeczeństwo rosyjskie traktuje życzliwie wszystkich, przez los prześladowanych, następnie zaś Polacy naogół byli dobrymi fachowcami i sumiennymi pracownikami, co budziło szacunek i uznanie mężczyzn, nadto zaś Polacy byli o wiele bardziej niż Rosjanie „rycerscy" i ugrzecznieni wobec płci pięknej, co zyskiwało im jej sympatje. Bardzo ważnym momentem był tu fakt, że w przeciwieństwie do tego, co widzimy w stosunkach polsko-niemieckich, ani Rosjanie wcale nie uważali się za wyższych kulturalnie od Polaków, ani przez tych ostatnich za takich poczytywani byli. Ponadto inteligencja rosyjska była nastrojona wobec rządu opozycyjnie i nie poczuwała się bynajmniej do obowiązku solidaryzowania się z nim, lub brania odpowiedzialności za jego czyny.

Mylne byłoby mniemanie, że Polacy są dla Rosjan szczególnie sympatyczni. Nasz typ psychiczny jest zasadniczo różny od typu rosyjskiego i nie bardzo nawet zrozumiały dla Rosjan. Z moich osobistych doświadczeń wynika, że sądy Rosjan o poszczególnych Polakach były bardzo często błędne, podobali się im przedewszystkiem tacy tylko rodacy nasi, którzy w swem zachowaniu się i wyglądzie zewnętrznym upodobnili się do przeciętnego typu rosyjskiego. Godny uwagi jest też fakt, że w poezji rosyjskiej napróżnobyśmy szukali dodatniego typu polskiego. W powieści też Polaków niema wcale, albo należą oni do typów ujemnych.

Jeszcze większym błędem byłoby sądzić, że dążenie Polaków do odzyskania niepodległości znajdowało sympatyczny oddźwięk w społeczeństwie rosyjskiem. Z mego doświadczenia wynika, że poczucie państwowe nie obce było nawet włościanom, skazanym za „polityczne przestępstwa" na wygnanie. Śród inteligentnych rosyjskich kolegów wygnania (w latach 1882 — 87 i 1896 — 1900) widziałem skłonność do traktowania żądania niepodległości jako sprzeniewierzenia się idei socjalistycznej. Nieznajomość stosunków polskich była też śród nich zdumiewająca. Koledzy mego wygnania w Jenisejsku (1882 — 1887) pamiętają, że razem z nami był na wygnaniu nauczyciel gimnazjum Mawrogan, który był święcie przekonany, że Polacy to tylko wyższe klasy społeczeństwa i że lud polski wcale nie istnieje. Gdyśmy się go zapytali: „po jakiemu, zdaniem pana, mówią włościanie pod Warszawą?" odrzekł: „Oczywiście, po małorusku".

Świadectwo prawdzie słów moich daje też historja. Przyjaciel Mickiewicza, Puszkin, w wierszu „Oszczercom Rosji" uważał walkę Polaków z Rosjanami za nieuniknioną i sądził, że chodzi w niej o rozwiązanie zagadnienia, czy słowiańskie strumienie zleją się w morzu rosyjskiem, czy też ono wyschnie. Za Aleksandra I przeciwko jego „polonofilskim" poczynaniom protestował historyk Karamzin. Z czasów Mikołaja II powołują się niektórzy na „kadetów" (stronnictwo „konstytucyjno-demokratyczne"), którzy przed zwołaniem jeszcze „Dumy państwowej" oświadczyli się za autonomją Polski. Podkreślić musimy, że chodziło tylko o autonomję i to Królestwa Kongresowego, że nadto, jak się potem okazało, autonomja ta była przez nich w bardzo szczupłe zamknięta ramy: w Dumie Państwowej „kadeci" bynajmniej nie okazywali przychylności Polakom, a nawet poparli wniosek rządowy o wykupienie na rzecz państwa kolei wiedeńskiej, wniosek, mający cele wrogie wobec Polaków i przeciwko któremu protestowali wszyscy Polacy. Godny zaznaczenia jest fakcik, że gen. Babiański, Polak, należący do „kadetów" i wybrany na posła do Dumy z gub. ufańskiej, podnosi z wielkiem uznaniem, iż zarząd stronnictwa „kadetów" pozwolił Polakom, w skład tego stronnictwa wchodzącym, wstrzymać się w Dumie od głosowania za tym wnioskiem.

O usposobieniu „kadetów" względem Polaków świadczy wymownie fakt, zaszły podczas wojny. Rząd rosyjski, jak wiadomo, na początku wojny unikał szczegółowego wypowiedzenia się w sprawie polskiej, odezwa W. ks. Mikołaja, była, jak wiadomo, mglista. Ale bieg wypadków wojennych zniewolił do jaśniejszego postawienia sprawy i oto car Mikołaj II uznał w r. 1916 za konieczne oświadczyć hr. Wielopolskiemu, że jest za państwem polskiem z osobnym sejmem w Warszawie i z własnem wojskiem. „Kadeci" zaprotestowali przeciw temu oświadczeniu, głosząc, że Rosja nigdy nie może zgodzić się na to, żeby w tak bliskiem od granicy rosyjskiej mieście, jak Warszawa, kwaterowało jakieś nierosyjskie wojsko. Miało się wówczas wrażenie, że „kadeci" zamierzają walczyć zawzięcie z oświadczeniem cesarza i w tej walce zdobyć sobie powszechną sympatję społeczeństwa rosyjskiego. Miałem sposobność poznać społeczeństwo rosyjskie, nie mające poczucia państwowego. Jest niem mianowicie społeczeństwo syberyjskie, które pragnęło wówczas (1882—87) wyodrębnienia z państwa rosyjskiego Syberji, czy też jej autonomji. Okazywało ono nietylko wiele uznania dla Polaków za ich zasługi dla kultury Syberji, ale i wiele sympatji dla charakteru ich i dążeń politycznych. Uczucia te znalazły wyraz i w utworach literackich sybiraków. Rozpisałem się wyżej o Polakach w Rosji, którzy nie zatracili swej łączności z kra-

jem. Trzeba jednak zaznaczyć, że byli i tacy Polacy, którzy w czasie długiego pobytu w Rosji wsiąknęli w otoczenie i oddali się całkowicie pracy dla społeczeństwa rosyjskiego. Część ich, gdy rewolucja bolszewicka zniszczyła podstawy ich bytu, przypomniała sobie o Polsce i wróciła do kraju, pracując niekiedy z wielkim nawet pożytkiem. Bywali nadto śród Polaków i tacy, którzy należeli niejako do dwóch narodowości: polskiej i rosyjskiej. Najznakomitszym z pośród nich był Włodzimierz Spasowicz, który całe niemal swe życie przebył w Petersburgu. Niewątpliwie ma on prawdziwe wobec Polski zasługi, ale jednak w utworach jego rosyjskich znajdziemy takie wyrażenia, jak „nasza literatura po Puszkinie". Na zwrócone do siebie kiedyś pytanie, w jakim języku myśli, Spasowicz odrzekł wymijająco, że ulubionem jego dziełem jest napisana przezeń po rosyjsku „Historja Literatury Polskiej".

W nowszych już czasach zasłynął drugi okaz tegoż typu, p. Aleksander Lednicki. Mieszkał stale w Moskwie i uważany był za ozdobę miejscowej adwokatury, którą wychwalał, jako „naszą rosyjską adwokaturę". Brał czynny udział w życiu rosyjskiem i był jednym z założycieli rosyjskiego stronnictwa konstytucyjno-demokratycznego („kadetów"). Nie zrywał jednak z polskością, był w Moskwie prezesem Katolickiego Tow. Dobroczynności i jak taki niejednokrotnie przychodził z pomocą potrzebującym rodakom. Zechciało mu się potem odgrywać rolę w życiu politycznem Polski i oto, nie zmieniając miejsca stałego pobytu, ani nie przestając należeć do „kadetów" wystawił w Warszawie swą kandydaturę na posła do Dumy Państwowej. Stolica Polski nie wybrała oczywiście na swego przedstawiciela człowieka, który miał tak swoiste poczucie polskości. P. Lednicki uczuł się tem mocno dotknięty, mimo to, wkrótce potem, gdy w czasie wojny do Moskwy zjechało dużo przymusowych wychodźców z Warszawy, nie odmówił im swej pomocy i opieki, co wydawane przezeń pismo „Echo Polskie" uznawało jako dowód jego wielkości moralnej. P. Lednicki był potem jednocześnie członkiem rządu Kiereńskiego i reprezentantem polskiej Rady Regencyjnej, obecnie zaś jest prezesem Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

JÓZEF HŁASKO

O NIEKTÓRYCH POPRZEDNIKACH „PUNAR-BHAVY"

Les hommes renoncent plus volontiers à Dieu qu'au diable, les apostats de tous les temps l'ont assez prouvé. Les disciples de Luther, divisés bientôt par l'anarchie, n'avaient plus entre eux qu'un lien de croyance commune, ils croyaient tous à Satan et ce spectre grandissant, à mesure que leur esprit de révolte les éloignait de Dieu, arrivait à des proportions terribles.

ELIPHAS LÉVI

I

NIESAMOWITA afera Czyńskiego (z pseudonimem „Punar-Bhava"), rozdęta zresztą przez żądną sensacji prasę, ale — z drugiej strony — zdolna otworzyć oczy twardogłowych w stosunku do zagonów okultyzmu w społeczeństwie naszem sceptyków, skłania i tych, którzy fachowo, od lat już szeregu, przyglądają się infiltracji tajnych sekt i wierzeń w tworzywo historji, do tego, co Francuz określa mianem: *marquer les points*, do konfrontacji rezultatów badań własnych z *corpora delicti*, jakie kłębiąca się fala życia wyrzuca na powierzchnię.

Nie będę nużył czytelników „Myśli Narodowej" dłuższemi wywodami o istocie i genezie martynizmu — miano to w prasie, zwłaszcza „czerwonej", dni ostatnich było tak popularne, jak normalnie „pięciobój" czy „*drive*" tennisowy, a ciekawym wskażę tylko na najświeższą, wyczerpującą monografję tych spraw i ludzi pióra Augusta Viatte, badacza zamieszkałego w Porrentruy (Szwajcarja) osobliwie zaś na tom jej pierwszy[1]). Sam zaś, z olbrzymiej dziedziny studjowanego przedmiotu wyłonię uwag kilka, tyczących się satanizmu wogóle, w szczególności zaś jednego z poprzedników francuskich naszego „Punar-Bhavy", którego postać nie jest i tak zapewne obcą czytelnikom niniejszego pisma.

„Aryman mścił się" po wszystkie czasy w wyobraźni ludów, zwłaszcza wschodnich, z których niektóre gięły się przed nim i przebłagiwać go pragnęły, upatrując w nim równorzędnego niemal z Bogiem „Demiurga", dawcę światła, buntownika o typie prometejskim. Stare, odwieczne to sprawy — ten kult węża („*Ofici*"), kult Zła wylęgły niegdyś gdzieś na płaskowzgórzu irańskiem, ten manicheizm, wdzierający się w wielką ilość misterjów i wtajemniczeń Wschodu. Walczyć z nim musiał święty jubilat tegoroczny Augustyn na gorących piaskach afrykańskich, co współcześnie oglądały też wyuzdaną propagandę „nudyzmu"; w pobliskiej Aleksandrji, w rojeniach „Gnozy", odżywał mit o szatanie, strąconym na glob ziemski, czy będącym zgoła sam ziemskim globem i, jako taki, oczekującym wyzwolenia i triumfu. Mit ten przeżył starożytność, odrodził się częściowo w sektach Bogomiłów i Katarów, wyklutych na Wschodzie, poprzedniczkach Albigensów, skąd zawędrował do południowej Francji (Gilles de Rais[2]), zakażając możny zakon Templarjuszów.

„Od początku stulecia XIII — wywodzi uczony historyk tego zakonu Loiseleur[3]) — herezja (lucyferjańska) rozlała się była po Niemczech zachodnich. W r. 1231 synod trewireński skazuje

[1]) *„Les sources occultes du romantisme. Illuminisme — Théosophie*, 1770 — 1820". *Paris, Champion*, 1928, 8 maj., str. 326.

[2]) O mordach jego rytualnych por. Lévi: *„Histoire de la magie"*, Paris 1922, str. 289 oraz Webster: *„Secret societies and subversive movements"*, London 1924, str. 78, gdzie też ciekawe szczegóły o demonologji rabinów—talmudystów

[3]) *„La doctrine secrète des Templiers"*. Paris — Orléans 1872, str. 57.

kobietę, która użalała się nad djabłem, jakoby niesprawiedliwie miał być wygnany z nieba. W stulecie zaś później ta sama sekta jawi się w Austrji, odkryta żarliwością Dominikanów. Mnisi (ci) wynaleźli mnogich lucyferjanów pośród sekty Katarów w djecezji passawskiej, Wiedniu oraz Styrji... Już w r. 1315, w cztery zaledwie lata po zniszczeniu zakonu Templarjuszów, herezja wspomniana dochodzi najwyższego rozkwitu... Głosi (i) ona, że Lucyfer niesprawiedliwie wygnany został z nieba; (głosi, że) wstąpi ... tam kiedyś z powrotem w otoczeniu swoich hufców, podczas gdy Michał, na czele aniołów, wydany zostanie na wieczyste katusze porówni z ludźmi, którzy wzdragają się wielbić Lucyfera". Sekciarze, spotykając się, pozdrawiali się słowy: „Lucyfer, co doznał krzywdy, ci się kłania"... W przeciwieństwie do Katarów (branych tutaj zapewne jako całość, bez względu na trafiające się, jak widzieliśmy wyżej i wśród nich wyjątki — przyp. aut. art.) — pisze dalej Loiseleur —„w przeciwieństwie do Katarów, którzy uznając w materji dzieło złego bóstwa, wystrzegali się wszelkiego z nią kontaktu, Lucyferjanie, poszukując tego kontaktu, schlebiali swojemu bóstwu... Tamci dążyli do poskromienia ciała zapomocą umartwień, postu i bezżeństwa, ci poniżali ciało w sposób wprost odwrotny, zadawalając je... W schowanych przed światłem dziennem konwentyklach wzywano Lucyfera, śpiewano na jego cześć hymny — parodje litanij chrześcijańskich, nie szczędzono mu ofiar... Po zgaszeniu świateł hołdowano orgjom najsromotniejszym... (A) dzieci zrodzone z takich związków, kultywowanych w ciemni magicznej, zarzynano na ofiarę w cztery dni po ich urodzeniu, wytaczając starannie ich krew, a potem paląc ich zwłoki. Z prochów tych, zmieszanych z krwią, fabrykowano chleb przeznaczony na „eucharystję" sekciarzy. Precyzuje to Grzegorz IX w bulli swojej z roku 1233, zwróconej przeciwko sekcie Stadinghianów: „Co roku — pisze mianowicie Papież — na Wielkanoc otrzymują sekciarze hostję (swoją) poświęconą ręką arcykapłana"... Prawdziwie przypominają się w związku z tym opisem wiersze Woltera z „Henrjady":

Ich świętokradzkie dłonie — obok imion Pana
Wpisują na ołtarze z piekła rodem miana.
Oparte o wał murów tajemnicze dzidy
Zanurzone są we krwi...

Kapłanami — żydy,

Co wygnani z wszech krajów, po całym się globie
Błąkają. wlokąc nędzę i zabobon w sobie.

II

Prasa doniosła o ustalonym kontakcie satanistów warszawsko-katowickich z „Marjawitami". Łączy ich zapewne wspólne masońskie źródło inicjacyjne, a to „Powszechny Kościół Gnostyczny" [4]). Z drugiej strony ustój marjawicki dziwnie nam przypomina praktyki istniejącej dawniej już sekty p. n. „*Pontificat de l'Oeuvre de Miséricorde* (Arcykapłaństwo Dzieła Miłosierdzia)". Twórcą czy arcykapłanem tej sekty był cytowany wielokrotnie w dniach ostatnich na łamach prasy polskiej Piotr-Eugenjusz — Michał Vintras [5]). Człowiek skromnego pochodzenia i kondycji: z urodzenia—bękart, z zawodu — kolejno subjekt, czeladnik, kolporter, lokaj, aferzysta i sklepikarz, z reputacji — oszust i złodziej, doznał rzekomo, w nocy 6 sierpnia 1839 r., objawienia. Ukazać mu się miał mianowicie archanioł Michał i pouczyć, jaką drogą naprawić Francję i zbawić religię. Siebie uważał Vintras za inkarnację proroka biblijnego Eljasza; zapowiadał, że niebawem, po wielkim przewrocie społecznym, na ziemi oczyszczonej, rozpocznie się panowanie Ducha św., za którego „organ" uważał się właśnie ów herezjarcha. „Konieczność, niezbędność swojej „Sprawy" — pisze Kallenbach — starał się Vintras uzasadnić rzekomym upadkiem Kościoła katolickiego, który zatracił wiarę pierwotną (i o którym zwykł był wołać w ekstazie do swoich wyznawców: „*Cessez de vous donner à la grande prostituée, à la Babylone romaine*")... (Twierdził), że w wizjach widuje Matkę Boską i na cześć jej Niepokalanego Poczęcia otworzył dla swych wiernych oznakę wstęgi niebieskiej (znowu analogja z Marjawitami!)... Na cześć zaś siedmiu darów Ducha Świętego podzielił Vintras swych prozelitów na siódemki... Ale szczytem... tych łask, jakie spadać miały na Vintrasa, były „cudowne" hostje krwawe, „bosko" pachnące; od czasu do czasu zjawiały się one na ołtarzu w kapliczce, którą Pierre-Michel skonstruował specjalnie przy swem mieszkaniu w Tilly (w Normandji)" [6]).

Około tego samego czasu, t. j. na przełomie lat 30 tych i 40-tych stulecia ubiegłego, rozpleniła się w Agen, mieście południowej Francji, tej t.zw. „Judei francuskiej", sekta demonjacka, operująca profanowaniem hostji a zarazem hołdująca orgjom. Ustalono fakt, że jedna z uczestniczek koła Vintrasowskiego, pani Cassini [7]), wybrała się zimą 1841 r. do Agen i powróciła stamtąd do Tilly, przywożąc ze sobą dwie przywłaszczone u tamtej sekty demonjackiej hostje. W sekcie Vintrasowskiej pierwiastek orgjastyczny zapanował również bardzo rychło, pod przewodem zwłaszcza apostaty — księdza Maréchala. Vintras zaś sam, uwięziony przez władze królewskie francuskie 8 kwietnia 1842 r. i skazany w dwóch instancjach na pięć lat więzienia, wyszedł z niego dopiero 25 marca 1848 r. dzięki interwencji rewolucyjnego ministra sprawiedliwości Mojżesza-Adolfa Crémieux, założyciela „*Alliance Israélite*". Po zamachu znów stanu Ludwika-Napoleona Bonapartego, Vintras, ścigany dalej ramieniem sprawiedliwości, schronił się najpierw do Belgji, potem do Anglji, umarł zaś — 7 grudnia 1875 — w Lugdunie, gdzie stworzył był wielkie „centrum inicjatyczne", nie bez związku zapewne i z późniejszą herezją marjawicką i z rewelowanemi dzisiaj bezeceństwami „Punar-Bhavy".

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

[4]) Ob. co do niego wyczerpujące dane w dziele ks. Barbier: „*Les infiltrations maçonniques dans l'Eglise*" (1910), str. 75 — 103.

[5]) Por. Garçon: „*Vintras hérésiarque et prophète*" (*„Bibliothèque des initiations modernes"*), Paryż 1928.

[6]) O skandalicznem urządzaniu tej kaplicy por. Garçon, l. c., str. 38. Por. także Webster, l. c., str. 73, która pisze słusznie o tej „metodzie perwersyjnej (= masonerji), która w skrajnej swojej formie przedzierżga się w satanizm a polega zawsze na używaniu najświętszych przedmiotów do celów profanacji".

[7]) Niestety! zalecana gorąco przez Mickiewicza Towiańskiemu (patrz Kallenbach: „Towianizm na tle historycznym", str. 12 — 26, gdzie zawarte cenne przyczynki do stosunku Towianizmu do Vintrasizmu, który nawet w emblematach swoich umieszczał inicjał Polski obok takichże inicjałów Francji i Hiszpanji).

POLSKA MONOGRAFJA O BYRONIE

Napisać dobrą monografję historyczno-literacką nie byle kto potrafi. Niedość posiadać odpowiednie uzdolnienie i przygotowanie ogólne. Trzeba poznać nawylot epokę i nurtujące ją prądy. Trzeba następnie opanować przedmiot, zżyć się z nim i ukochać go—to zaś nie jest możliwe bez pewnej kongenjalności. Aby wpełni odczuć poetę, trzeba samemu być trochę poetą — przynajmniej potencjonalnie. Musi zaś ta miłość monografisty być miłością mądrą, która nie czyni ślepym na błędy i nie zarzuca bezstronności sądu. Trzeba dalej zaznajomić się z literaturą przedmiotu. Trzeba potem odróżnić zagadnienia i momenty najistotniejsze od drugorzędnych i do dna zgłębić te pierwsze. Trzeba wreszcie tak uporządkowany materjał przy pomocy kunstrukcji logicznej przetworzyć w całość równocześnie naukową i artystyczną.

Wyliczone tu trudności wzrastają znacznie w dwóch wypadkach.. Wybrana postać może być szczególnie skomplikowana pod względem psychicznym, jej dzieje mogą mieścić w sobie zagadkę, od której trafnego i nie pozostawiającego wątpliwości rozwiązania zależy poprostu wszystko. Nadto postać mogła odegrać szczególnie doniosłą rolę w swej epoce i wskutek tego stać się przedmiotem nad zwyczajną normę licznych studjów i rozpraw, w których odzwierciadlają się i późniejsze teorje i indywidualności badaczy.

Zejście się obu wypadków wytwarza sytuację, która przechodzi siły przeciętnego krytyka. Około owej wielkiej postaci tworzy się prawdziwa puszcza dziewicza, w której dzięki wybujałym pod niebo olbrzymim drzewom panuje półmrok, a nawet przeświecające gdzie niegdzie przez ich gęstwę promienie słoneczne padają nie na to, co najgodniejsze uwagi, więc mogą stać się powodem złudzeń optycznych, i w której trzeba sobie torować drogę przebojem, a równocześną rozwagą i energją, przecinając i odrzucając na bok ljany zastarzałych omyłek i przechodząc obojętnie obok wspaniałych kwiatów, o ile wyrosły na gruncie fantazji, a nie rzeczywistości.

Co do Byrona zachodzą, a przynajmniej zachodziły w czasie, gdy prof. Tretiak pisał swą monografję,[1]) oba wypadki. Byron miał złowrogą tajemnicę, która wycisnęła niezatarte piętno i na jego życiu i na twórczości. Ona to, wywoławszy burzę w piersi zapóźno urodzonego klasyka, wyniosła go na szczyty romantyzmu. Ona to, a raczej jej następstwa, czy zewnętrzne objawy wydały go na pastwę surowego sądu rodaków, który w znacznej mierze trwa po dzień dzisiejszy, a prócz człowieka obejmuje i dzieło. Z drugiej strony ból i poczucie winy, działając na twórczość Byrona, dało takie jedyne w swoim rodzaju połączenie optymizmu z pesymizmem i poczucia siły z depresją, że człowiek XVIII wieku stał się—poza ojczyzną—symbolem i mężem sztandarowym prądów nowych XIX stulecia, prądów pod każdym względem rewolucyjnych. Opromieniony aureolą swego naprawdę bohaterskiego zgonu, wywarł na kontynencie o wiele większy wpływ, niż prawdziwi romantycy, czy to z poprzedniego pokolenia (Wordsworth i Coleridge), czy to jemu współcześni (Shelley i Keats). A pociągało w Byronie wielbicieli i naśladowców przedewszystkiem to, co było dla nich niezrozumiałem lub co fałszywie rozumieli. Żeby nie sięgać po przykłady zbyt daleko, wystarczy przytoczyć wiersze, któremi Słowacki kończy swą apostrofę do Melancholji:

> ...Nimfo, za twoim przewodem
> Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną
> I jestem dzisiaj... niech cię porwie trzysta!
> Nie Polak, ale istny bajronista.

Przypisywano tedy „bajronizm" Byrona czy to jego organizacji duchowej, czy duchowi czasu, za którego uważano go wcielenie. Wyczuwano w postaciach „cnotliwych zbrodniarzy" podkład subjektywny, ale nie znano ich genezy—bardzo zresztą możliwe, że ta nieświadomość przyczyniała się do spotęgowania entuzjazmu.

Im bardziej jednak postać poety odsuwała się w przeszłość, tem trzeźwiej starano się patrzyć na nią. Ale rozwiązanie zagadki prawdziwe było niedostępne. Więc „cnotliwych zbrodniarzy", sprowadzano do wzorów literackich, wskazując pierwowzory Childe Harolda, Giaura, Manfreda i innych bohaterów Byrona w romansie grozy, modnym pod koniec XVIII w. i wyjaśniając nawet genezę Kaina i Lucyfera ewolucją tego typu. Albo przytem ignorowano sprzeczność koncepcji z subjektywizmem, stanowiącym zasadniczą cechę twórczości Byrona, albo — z większą konsekwencją — dopatrywano się u niego pozy. Tymczasem twórca „Don Juana" był od niej w swych dojrzałych okresach daleki.

Dzieje ciężkiego przewinienia i tragedji rodzinnej Byrona, które zaciężyły ołowiem nad jego życiem i poezją, znane były pewnej ilości osób, lecz te zazdrośnie strzegły tajemnicy, bądź to ze względu na pamięć Byrona, bądź ze względu na żyjące inne osoby, wmieszane w sprawę, przedewszystkiem na wspólniczkę owej winy, przyrodnią siostrę Byrona, Augustę Leigh. Po bohatersku milczała wdowa, z którą zresztą poeta rozszedł się był na ośm lat przed swym zgonem. Ale nie zabrała tajemnicy do grobu. W r. 1860 wystąpiła Amerykanka pani Beecher-Stowe, autorka głośnej „Chaty wuja Toma" z rewelacjami. Informacje, niezupełnie ścisłe, opierały się jednak na opowiadaniu lady Byron. Stały się one przyczyną zawziętej polemiki. Ci, którzy nie chcieli pogodzić się z myślą, że poeta popełnił kazirodztwo, piętnowali pamięć jego żony, zarzucając jej rzucenie potwarzy na dawno zmarłego wielkiego męża. Wnuk jej więc, lord Lovelace ogłosił w r. 1905 w książce „Astarte", której tytuł był aluzją do postaci z „Manfreda", oznaczającej Augustę, szereg dokumentów obciążających Byrona. Rok 1922 przyniósł potwierdzenie w postaci wydanej wtedy korespondencji poety z lady Melbourne. Mimo to szereg krytyków i biografów nie chciał uwierzyć w przykrą prawdę, która dziś, po wydaniu przez poetkę Ethel L. Mayne życiorysu lady Byron wraz

[1]) Andrzej Tretiak. Lord Byron. Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Poznań — bez daty (1930).

z dalszemi materjałami, nie ulega już żadnej wątpliwości.

Tretiak przygotowywał swą monografję na setną rocznicę śmieci poety (t, j. na rok 1924) i tylko polskie stosunki wydawnicze odwlokły jej ukazanie się do chwili obecnej. W owym czasie dowody stosunku Byrona z Augustą były dostateczne, aby przekonać nieuprzedzonego badacza. Nie więc samo trafne ocenienie materjałów należy mieć Tretiakowi za zasługę, lecz dyskretne, dalekie od pogoni za niezdrową sensacją ujęcie drastycznego epizodu, a bardziej jeszcze wyprowadzenie zeń wszelkich konsekwencyj przy odmalowaniu ewolucji duchowej i twórczej poety.

Gdyby nie ogłoszenie nowych materjałów i przewrót, jaki one przyniosły, nowa obszerna praca o Byronie po tem wszystkiem, co o nim napisano, byłaby zapewne zbyteczna. Dzisiaj wiemy, że autor „Manfreda" nie był — przynajmniej od r. 1813—ani pozerem, drapującym się w szatę wyrzutów sumienia i straszącym naiwnego czytelnika gestem zbrodniarza, ani duchowym dziedzicem pani Radcliffe i Mateusza G. Lewisa, w których romansach zapożyczał się jedynie co do drobnych, zewnętrznych szczegółów. Dzisiaj wiemy, że wewnętrznym ogniem, palącym go przez lata, było poczucie rzeczywiście popełnionej winy, że ono to zabarwiało jego twórczość, póki nie ozdrowiał pod włoskiem niebem i we włoskiej atmosferze ruchu wolnościowego. I chociaż rzecz sama w sobie jest przykrą, trudno nie zdawać sobie sprawy, iż bez owej winy i bez katuszy sumienia poezja Byrona byłaby zapewne pozostała satyrą i retoryką, pozbawioną głębszego uczucia, zaś on sam efemerydą o barwnych skrzydełkach czy świetlistym meteorem. A raz to uznawszy, widzimy, że boleść, płynąca z popełnienia złego czynu, stała się owem obcem ciałem, około którego w łonie muszli powstaje perła.

Przy szczegółowej analizie poszczególnych utworów, Tretiak wiąże je z tragedją życiową Byrona, wykazując ponad wszelką wątpliwość, że od pierwszych powieści poetyckich aż po „Niebo i ziemię" wraca wciąż motyw kazirodztwa—wprowadzany wyraźnie, zasłaniany lub domyślny. Dopiero z początkiem swego ostatniego okresu, na krótko przed rozpoczęciem „Don Juana" otrząsnął się poeta z tej zmory — i wrócił do satyry, której jednak przeżyta tragedja nadała podkład uczucia i charakter pra dziwego „gryzienia sercem".

Warszawski profesor jest niepoślednim znawcą czasów Byrona, jak świadczy „Literatura angielska w okresie romantyzmu". To też znajomość zarówno ducha, jak stosunków i twórczości tego osobliwego momentu historji literatury umożliwiła wykazywanie na każdym kroku związków między poezją Byrona a współczesnych. Na ich tle uwydatnia się wyraziście odrębność autora „Childe Harolda", gdyż reminiscencjom w formie i w zewnętrznych szczegółach towarzyszy zawsze treść własna.

Przekłady prof. Tretiaka świadczą znów o uzdolnieniu poetyckiem. Ułatwiło mu ono wczucie się w psychikę Byrona. Jak zżył się z poetą, jak go ukochał, widać na każdej stronie. Ale czuły zmysł krytyczny wstrzymał Tretiaka na progu bałwochwalstwa, w jakie nieraz popadają monografiści.

Opanowawszy znakomicie przedmiot, ustaliwszy i wpełni wyzyskawszy żywioł autobiograficzny w poezji Byrona, zdołał Tretiak przedrzeć się zwycięsko przez bujną puszczę pism krytycznych, unikając szczęśliwie licznych zasadzek, jakie gotowała dowolność czy tendencyjność poprzedników. Trzymając się ściśle faktów, utrzymał w cuglach dążność do zbyt ryzykownych hypotez, która wychodzi czasem na szkodę jego krytyce szekspirowskiej. Dał obraz, przekonywający prawdą psychologiczną, powiązał logicznie poszczególne fazy twórczości, a w ich zakresie skupił światło na dziełach naprawdę najbardziej wartościowych i znamiennych, mianowicie na ostatnich pieśniach „Childe Harolda", na misterjach i na „Don Juanie".

Doskonałemi próbkami dojrzałości krytycznej Tretiaka są np. ustęp o kolorycie „Lary", charakterystyka wpływu Byrona na kontynencie, zestawienie zakończeń „Więźnia Chillonu" i „Żalów Tassa", analiza „Don Juana" z położeniem nacisku na dygresje, zwłaszcza na liryczne dygresje pieśni końcowych. Lecz gdybym usiłował wyliczyć wszystkie miejsca książki, ktore na to zasługują, zaszedłbym zbyt daleko.

Przechodzę z obowiązku do usterek i braków. Błędem faktycznym — zresztą niewielkiej wagi — wydaje mi się wzmianka, że jednego z przodków poety Elżbieta „pasowała na rycerza i obdarzyła nawet tytułem baroneta", gdyż godność tę stworzył dopiero następca Elżbiety, Jakób I. Rozróżnienie między wyobraźnią a fantazją (str. 25) należałoby wyjaśnić nie zbyt ogólnie brzmiącą parentezą „według teorji angielskich romantyków prawdziwych", lecz albo cytatem z Wordsowortha, albo streszczeniem jego poglądów, choćby wziętem z własnej książki Tretiaka o romantyzmie. Fragment „Niekształtny przekształcony" stawia on może zbyt wysoko. Natomiast należało może poświęcić więcej uwagi paru drobnym lirykom (np. „*She walks in beauty*"). Wreszcie trzeba było zająć stanowisko wobec większości krytyków angielskich, wyznaczających Byronowi stosunkowo niskie miejsce w swej literaturze, a uzasadniających ten sąd głównie dwoma zarzutami: że poezja Byrona jest retoryczna, a wiersz jego pozbawiony melodyjności. Nie twierdzę, że kwestja ta została zupełnie pominięta, przydałoby się jednak omówienie jej osobne i obszerne.

Do tego rejestru braków w treści trudnoby mi było dodać cokolwiek. Styl bywa miejscami zawiły. Odnosi się czasem wrażenie, że autor wpatrzony w myśl i zajęty docieraniem do jądra głębokich zagadnień, zbyt był tą wewnętrzną stroną pracy zaprzątnięty, aby zwracać uwagę na wysłowienie.

Są to rzeczy drobne i łatwe do usunięcia. Jeżeli wspominam o nich, to dlatego, że radbym nie dostrzec ich w następnem wydaniu (gdy stosunki poprawią się, a publiczność, czytająca książki poważniejsze, będzie miała więcej pieniędzy). Wobec zalet „Byrona" braki jego znikają i cieszyć się należy, iż nasza literatura anglistyczna wzbogaciła się o tak gruntowną i głęboką monografję.

Forma zewnętrzna przedstawia się doskonale. Ilustracje, głównie portrety, są starannie dobrane i wykonane. Errata niezupełnie wyczerpuje liczbę omyłek druku, których kilka przeoczono w ostatnich arkuszach.

WŁADYSŁAW TARNOWSKI

NA WIDOWNI

Krótki program. — Czy Polska ma być, czy nie być? — Zrozumieć trzeba, o co chodzi. — Zaborcy i ich ciało astralne. — Kto rozkładowi przeszkadza? — Dywersja wschodnia i walka z katolicyzmem.—Poczciwość i uczciwość. — O patrjotyzm rzeczowy i czynny.

ZANIM zaczniemy się uczyć na pamięć numerów list wyborczych, aby wiedzieć na kogo głosować, pomyślmy dobrze o tem rzeczowo, czego potrzeba Polsce, żeby ona była sobą, nie zaś igraszką przypadku i cudzych interesów.

Było do przewidzenia (i przewódcy obozu narodowego to zapowiadali), że po odzyskaniu formalnej niepodległości Polska narażona będzie przez czas dłuższy na ciężkie wstrząśnienia polityczne. Zeszli z ziem polskich zaborcy, ale została na nich gra tych interesów, które zaborcom sprzyjały, a które potrafiły samo społeczeństwo polskie podzielić na obozy. Naród polski walczy dziś już nie z zaborcami, lecz z tendencjami, w społeczeństwo zastrzykniętemi; dlatego toczy się walka wewnętrzna i tę Polska musi przebyć, zanim zwycięży myśl prawowita, polska, płynąca z dobrze zrozumianego instynktu samozachowawczego. Ostatnia próba, na nas czyniona, skierowana jest na duszę polską, a wynik jej zależeć będzie od tego, czy ogół zrozumie, jaki jest sens kryzysu.

Polska jest dziś wolna od zewnętrznych więzów, zależna w zasadzie tylko od siebie. Otóż robota destrukcyjna zmierza do tego, żebyśmy stracili głowę i nie mieli żadnego programu postępowania, a nawet stracili poczucie, co jest Polska. Kto potrafi przełamać w sobie najtrudniejszą w politycznem potocznem myśleniu zaporę, jaką jest nieumiejętność skupienia myśli na rzecz samą (na interes narodu), ten odrazu powie: musimy dążyć do stworzenia wielkiej Polski, rządzonej przez Polaków. I w tem odkryciu znajdzie dla siebie kategoryczny imperatyw.

Cóż dzieje się w rzeczywistości? Terror, wywierany na umysły polskie, idzie w tym kierunku, aby Polak nie miał żadnego dogmatu politycznego. A trzeba to sobie powiedzieć wyraźnie: dopokąd Polacy w kwestji zasadniczej bytu nie będą jednomyślni i nawet na tym terenie dzielić się będą na obozy, dopóty nie można mówić, że Polska istnieje na serjo.

A następnie trzeba zrozumieć, że to jest punkt, w który biją tarany, szturmujące do naszej twierdzy moralnej. Wszystkie środki, jakiemi dysponuje dzisiaj człowiek na polu polityki międzynarodowej i wewnętrznej, akcji socjalnej, prasy, nauki, sztuki, literatury, wychowania — wszystkie używane są z niesłychanym wysiłkiem kłamstwa i obłudy w tym celu, aby Polak nie miał pod tym względem jasnych decyzyj. Środki te są harmonizowane i precyzyjnie stosowane, znajdują się bowiem w jednym ręku tajnej międzynarodowej organizacji. Środki propagandy są stosowane z taką znajomością psychologji i poziomu umysłów w Polsce, że działają, jak hypnoza. Jeżeli się dobrze przypatrzymy, znajdziemy na wielu duszach w Polsce powłokę wstydliwości, gdy mowa o interesach narodu. Wmówiono ludziom, że hańbą się egoizmem, myśląc kategorjami patrjotycznemi; szlachetnie jest natomiast myśleć, jak kraj okroić na rzecz narodowości innych.

Od kilkudziesięciu zaledwie lat w Polsce, już niemal zamordowanej rozbiorami i fałszywemi naukami politycznemi, istnieje szkoła myślenia rzeczowego o potędze Polski. Jest to rdzeń dzisiejszego obozu narodowego, mający swój organizacyjny wyraz w Stronnictwie Narodowem i Obozie Wielkiej Polski. Obóz ten cały jest przedmiotem nienawiści i pościgu ze strony czynników, organizujących przeciwko niemu wszystkie inne odłamy i okruchy polityczne polskie, nietylko obce narodowości. Dlaczego? Dla tego, że on reprezentuje ideę i fakt wielkiej, niezależnej, narodowej i katolickiej Polski. Dla świata jest to jedyna grupa, mająca za sobą oparcie o historję narodu, umiejąca myśleć rzeczowo; to wystarcza, aby wszystkie usiłowania wrogów skierowane były ku temu, aby jej praw reprezentacji narodu zaprzeczyć. Bez zamachów dokonać tego oczywiście nie można. Ze wszystkich jednak zamachów najdotkliwsze w tych warunkach są te, które są dokonywane na psychikę współrodaków. Uratować się ona może tylko wysiłkiem myślenia rzeczowego o dobru Polski.

O cóż — pytam się jeszcze raz — chodzi? O to, czy Polska ma tutaj, w środku Europy, w oparciu o morze być, czy nie być. Historycy mi potwierdzą, że już w wieku 19-m, kiedy Polacy podrywani byli do powstań w Królestwie, aby jeszcze mocniej zaciskali na sobie więzy, były czynione poufne wyznania: odbudowanie Polski w dawnej całości jest niemożliwe; nie zgodzą się na te nigdy tajne organizacje, one nie dopuszczą do istnienia na tych ziemiach wielkiego państwa katolickiego.

Dopiero wielka wojna wytworzyła taką konjunkturę, że jednak państwo polskie powstało. A stało się to dzięki temu, że istniała już w Polsce zdecydowana grupa, która zrozumiała tę prawdę polityczną i umiała nadać sprawie polskiej myśl polityczną objektywną. Ten obóz stanął na straży zrealizowanej idei, i dlatego tak niecona jest przeciwko niemu nienawiść. Widzimy, że nie wyrzeczono się planów na naszą ziemię. Już się zaczęło kwestjonowanie traktatów i godzenie się na ich rewizję. Nie ustają wysiłki w celu podkopania się pod fundamenty Kościoła, religji i moralności, abyśmy sami zanurzyli Polskę w błocie.

Zeszli z pola zaborcy, ale ich ciało astralne, masonerja, która ich na Polskę rzuciła, żyje dalej i działa środkami wewnętrznemi. Doprowadzić Polskę do tego stanu, aby widocznem się stało, iż nie może pełnić roli wielkiego mocarstwa — oto zadanie angażowanych do tej roboty żywiołów. Robota zaś składa się z dwu wątków: zewnętrznie działa na rzecz Niemiec, wewnętrznie na rozkład moralny. W obu kierunkach robota ma oparcie realne w żydach, którzy Polskę chcą zachować w stanie rozwartym, jako rezerwoar sił żydowskich na cały świat.

Przeciwdziałanie obozowi narodowemu idzie w tych dwu kierunkach: 1) ułatwianie penetracji niemieckiej i odwracanie czujności polskiej od granicy zachodniej ku wschodnim i 2) akcja antykatolicka. Świat polityki konspirowanej radby widzieć na terytorjach polskich wpływy i rządy państwa protestanckiego t.j. Niemiec. Polacy muszą przekonać, że oni ze swoją wiarą narodową i religijną są tutaj potrzebniejsi; ale muszą być co do tego sami przekonani: wiedzieć, o co chodzi. Inaczej —

patrzeć będą na to, co się u nich dzieje, jak krowy na pociąg, nic nie rozumiejąc.

A więc: nie uczmy się na pamięć nazwisk i numerów, nie dawajmy się tumanić anegdotami pikantnemi i pukawkami, któremi nas bawią dla odwrócenia naszej uwagi, lecz nauczmy się czytać w żywej księdze dziejów, poczynając od sylabizowania. A wtedy, gdy rzecz polską zrozumiemy, odnajdziemy i osoby i kierunki dróg. Odnajdziemy siebie.

Każdy nowy etap w życiu, który wymaga od nas decyzji, poczynać trzeba od silnego wstrząsu umysłowego i moralnego, budzącego z hypnozy: nikomu kto w Polsce mąci, o zabawę osobistą nie chodzi; rozstrzygają się rzeczy ważne, a przedmiotem zabiegów jest owa „wielka rzecz“ — Polska. Nie dajmy jej z rąk sobie wyrwać! Bo gdy tę kwestję: być czy nie być — puścimy na handel kompromisów z sumieniem, strwonimy los.

Potrzeba w kraju ciszy, spokoju i ładu, aby słyszeć, co na świecie się dzieje i żeby się przygotować na odpór niebezpieczeństwa. Czy zdajemy sobie sprawę z tego, że właśnie, kiedy cały świat o tem myśli, co z Polską będzie, my jedni nie możemy się skupić: taki jest u nas hałas. O wszystkiem się mówi, o rzeczach niegodnych społeczeństwa cywilizowanego, aby tylko nie o tem, co jest kwestją bytu i grozą. Nadchodzące wybory będą plebiscytem, który w konsekwencji dopomoże narodowi do odzyskania postawy narodu wolnego.

Polskę trzeba wybawić z ciemności, jaką tworzy nieświadomość; uratować ją trzeba od Polaków, w których tę świadomość obłąkano. Nie walka to wewnętrzna na poziomie równości moralnej, lecz ojcowskie zaopiekowanie się sprawą narodu przez tych, którzy wiedzą, o c o c h o d z i.

Gdyby nie mocne przeciwstawienie się ze strony instynktów narodowych, kierowanych myślą polityczną, dzisiaj najstarsze dzielnice Polski zostawałyby pod zaborem niemieckim; jeżeli nie podmurujemy swojej psychiki i moralności, aby była jak twierdza niezdobyta, robota pod pozorami ukryta dopnie swego celu. Nic Polsce nie pomogą traktaty, gdy nas szanować nie będą jako siły zdolnej do spełnienia swej roli dziejowej. Obecna obrona i budowa Polski nie orężna jest, lecz moralna. To, co dawniej, gdy dopiero formował się język, traktujący o sprawach psychicznych narodu, nazywano „p o c z c i w o ś c i ą“ obywateli, przezwyciężyć musi siłę rozkładu. Jeżeli „poczciwość“ mieści w sobie takie pojęcia, jak: uczciwość i odpowiedzialność za dobro przedmiotu miłości, to zrozumiecie starego Krasickiego:

Święta miłości kochanej Ojczyzny
Czują cię tylko umysły poczciwe.

Niczego dziś nie trzeba tyle, ile u c z c i w o ś c i, polegającej na odwadze rozumienia stanu rzeczy.

Proste poczucie uczciwości podyktuje nam drogę postępowania podczas nadchodzących wyborów. Sytuacja dla uczciwego człowieka jest uproszczona nadzwyczajnie: tak — czy nie; chcę Polski, czy jej nie chcę. To, co z Polski chcą wrogowie obozu narodowego uczynić, nie będzie Polską. Nie o ludzi chodzi, nie o partyjki, ale o rzecz.

Trzeba się poczuć w prawach i obowiązkach Polaka. Nie więcej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

TENDENCJE ROZWOJOWE SZKOLNICTWA POWSZECHNEGO NA WSI

(Dokończenie)

O ILE chodzi o poszczególne dzielnice Polski, to najwyższy procentowy s p a d e k ilości szkół 1 klas. w ciągu ostatnich lat 7 wykazują województwa centralne z 77,02% na 51,19% (33,54%) i woj. śląskie z 22,03% na 14,69% (33,32%), potem województwa zachodnie z 74,67% na 56,33% (24,57%), a najniższy województwa wschodnie z 78,12% na 62,64% (19,82%) i południowe z 48,04% na 41,47% (13,68%). W szkołach innych stopni organizacyjnych widać wszędzie p r z y r o s t, z wyjątkiem województwa śląskiego, gdzie nastąpił w r. 1929 w porównaniu z r. 1923 ubytek szkół 2 klasowych o 5,14% (z 19,25% na 18,28%) i 5 klasowych o 13,97% (z 6,66% na 5,73%), oraz województw południowych, gdzie zmniejszyła się ilość szkół 2-klasowych o 11,38% (z 29,71% na 26,33%) i 7 klasowych o 1,47% (z 2,73% na 1,63%). Przyrost ten jest wcale pokaźny, bo wynosi okrągło od 50% do 200% i nieco wyżej w województwach centralnych, wschodnich i zachodnich, bądź skutkiem organizacji coraz to nowych szkół wyższego stopnia, bądź też z powodu podnoszenia stopnia organizacyjnego szeregu szkół już istniejących. Przedewszystkiem szkoły 1 klasowe zamieniono w dużej ilości (od 25 — 30%) na szkoły 2, 3 i 4 klasowe, gdyż z jednej strony posiadały one już taką ilość uczniów, że mógł być podniesiony ich stopień organizacyjny, a z drugiej strony co roku napływała do nich coraz większa ilość uczniów skutkiem zwiększenia się ilości dzieci w wieku szkolnym w okresie powojennym. Najmniejszy przyrost ilości szkół więcej-klasowych wykazują województwa południowe i woj. śląskie, gdzie organizacja sieci szkolnej i stopnia organizacyjnego szkół jeszcze z okresu przedwojennego była dość wysoko posunięta, skutkiem czego brak szkół więcej-klasowych nie był zbyt wielki. I dlatego tak spadek ilości szkół 1 i 2 klasowych, jak i przyrost szkół więcej-klasowych jest dość nieznaczny i wynosi okrągło od 15 — 64% w ciągu lat 7. Z tego przykładu Małopolski i województwa śląskiego wynika, że, o ile także w innych województwach nastąpi należyte nasycenie szkołami powszechnemi, czyli innemi słowy, o ile wszystkie dzieci w wieku szkolnym zastaną objęte obowiązkiem szkolnym, to i tam przyrost lub spadek ilości szkół z roku na rok będzie stosunkowo mały, gdyż będzie zależał już nie od natężenia akcji organizacyjnej szkół, ale jedynie od przyrostu lub ubytku dzieci w wieku szkolnym. Roczny przyrost dzieci w wieku szkolnym wynosi u nas $^1/_6$ część rocznego przyrostu ludności. Przyjmując w r. 1930 około 31 miljonów ludności Polski, otrzymujemy 465 tysięcy przyrostu ludności (1,5%), z czego $^1/_6$ stanowi liczbę dzieci w wieku szkolnym, 4,77,500. Tę liczbę dzieci trzeba w b. roku rozmieścić w szkołach powszechnych częściowo przez dołączenie ich do obecnej liczby uczniów, a częściowo przez stworzenie nowych klas, wzgl. szkół, szczególnie tam, gdzie dotychczas nie było ustawowych warunków do założenia szkoły, a gdzie te warunki przez przyrost dzieci powstały. Tak będzie co roku.

I dlatego z jednej strony będzie się powoli z roku na rok podnosić stopień organizacyjny pewnej ilości szkół, a z drugiej strony będą powstawały nowe szkoły 1 klasowe[2]).

5. Z powyższych rozważań dochodzimy do następujących wniosków: a) Tendencje rozwojowe szkolnictwa powszechnego pod względem stopnia organizacyjnego szkół idą na całym obszarze wiejskim państwa w kierunku zmniejszania się liczby szkół 1 klasowych i zwiększania się (z b. małemi wyjątkami) liczby szkół 2 — 7 klasowych. b) Nie wiadomo, do jakiej granicy dojdzie ten spadek, wzgl. wzrost liczby szkół poszczególnych stopni organizacyjnych. c) Co się tyczy szkół 1 klas., to niewiadomo, czy granica małopolska (t. j. 40%) stanie się granicą spadku we wszystkich dzielnicach (poza Śląskiem) Polski, czy też ustali się ona na 35 lub może nawet na 30%. W każdym razie jest pewne, że wobec istnienia w Polsce dużej ilości wsi, liczących do 500 mieszkańców, będą musiały nadal istnieć szkoły 1 klasowe, bo w tych wsiach nie będzie takiej ilości dzieci w wieku szkolnym, aby wystarczyła na szkoły więcej-klasowe. d) To samo da się powiedzieć i o szkołach więcej-klasowych. Znowu niewiadomo, czy granicą szkół 2 klasowych będzie 30%, czy 35%, szkół 3 kl. — 20%, 4 kl. — 5% lub 10%, a 5, 6 i 7 klasowych 5% lub 10%, ale jest pewne, że każdy z tych typów zatrzyma się na czas pewien na pewnej określonej granicy, która będzie ulegała drobnym tylko odchyleniom w miarę corocznego przyrostu dzieci w wieku szkolnym. Sądzimy, że organizację szkolnictwa powszechnego na wsi będzie można uważać wtedy za doskonałą, kiedy ani jedno dziecko w wieku szkolnym nie znajdzie się w takich warunkach geograficznych, by nie mogło uczęszczać do szkoły.

WINCENTY SIKORA

---

[2]) Podajemy tu tabelę II z danemi statystycznemi za lata 1923 i 1929, sprostowanemi i uzupełnionemi przez Gł. Urząd Statystyczny:

NAUKA I LITERATURA

KILKA SŁÓW W OBRONIE NAUCZYCIELA

NAZWISKO Kallenbacha było czerwoną płachtą dla całego szeregu świętoburców, stało się synonimem zacofania. A jednak niesłusznie pomawiano go o przesadną gloryfikację, czy o bronzownictwo.

Kallenbacha można by nazwać umysłowością współczesną Mickiewiczowi a raczej Brodzińskiemu i Karpińskiemu. — To prawda. Roztkliwiały go wieś polska i chatki Syrokomli, ale roztkliwiały szczerze. Jego zachwyt dla tych rzeczy był wynikiem jego temperamentu. Słynął nie z przemilczania i nie z fałszowania prawdy, ale z kontemplacji szczerej i prawdziwej! Kiedy na pierwszym roku Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie rozglądałem się za seminarjum, gdziebym mógł wyładować moją żądzę pracy i pióra — zostałem przyjęty przez niego.

Świetny pedagog Chrzanowski godził się dopuszczać do seminarjum dopiero na drugim roku (pracowałem na jego seminarjum równolegle z pracą u Kallenbacha). Windakiewicz, niezrównany jako wykładowca, czytywał na swych ćwiczeniach teksty w wielu współczesnych językach. Nie władałem niemi tak biegle, aby wszystko, a zwłaszcza wszystkie rozumieć — to rozstrzygnęło o moim wyborze. Zapisałem się na semin. Kallenbacha.

Zaraz na wstępie wdałem się w polemikę z kolegą, który wychwalał Mickiewicza kosztem Goethego wykazując pewne pseudobraki w psychice Goethego. Kallenbach opowiedział się za Goethem w imię prawdy. Później zająłem się Henrykiem Kleistem i przełożyłem jego „*Prinz von Homburg*". Kallenbach dał mi wówczas do omówienia pracę starszego kolegi, na podstawie której miał się doktoryzować, pracę o Garczyńskim.

Pamiętam ten półmrok pustej sali, gdy część lamp już pogasła a staruszek zabierał teczkę i gotował się do odejścia. Wręczył mi ogromny plik papierów i uśmiechając się mówił: „Mam coś dla pana, pan, taki wielbiciel Kleista, winien wniknąć w psychikę Garczyńskiego. Niech pan rozczyta się w tej pracy i we wszystkiem, co napisał Garczyński".

Między psychiką Garczyńskiego i Kleista zachodzą istotnie pewne podobieństwa (zwrócił na to mimochodem

SZKOŁY POWSZECHNE WEDŁUG STOPNIA ORGANIZACYJNEGO NA WSI — Tabela II

Województ.	Rok szkolny	PUBLICZNE Ogółem	I	%	II	%	III	%	IV	%	V	%	VI	%	VII	%	Prywatne Ogółem
			KLASOWE														
Centralne	1922/3	10303	7996	77.02	1502	14.57	366	3.55	153	1.48	94	0.91	60	0.58	132	1 28	74
	1928/9	8947	4580	51.19	2389	26.70	882	9.85	421	4.70	203	2.26	107	1.19	365	4.08	148
Wschodnie	1922/3	3676	2872	78 12	613	16.67	104	2.82	45	1.22	18	0.48	15	0.40	9	0.24	117
	1928/9	4438	2780	62.64	1071	24.13	321	7.23	115	2.57	58	1.30	28	0,62	65	1.45	223
Zachodnie	1922/3	3933	2937	74.67	782	19.88	133	3.12	52	1.32	12	0.30	8	0.20	9	0.23	10
	1928/9	3364	1895	56.33	909	27.00	364	10.82	122	3.62	32	0.95	17	0.50	25	0.74	58
Śląskie	1922/3	540	119	22.03	104	19.25	76	14.07	49	9.07	36	6.66	25	4.64	131	24,25	7
	1928/9	588	82	14.69	102	18.28	98	17.56	53	9.49	32	5.73	34	6,09	157	28.13	12
Południowe	1922/3	5930	2849	48.04	1762	29.71	596	10.05	316	5.32	182	3,06	84	1.41	141	2,73	90
	1928/9	5818	2413	41.47	1531	26.33	961	16.51	420	7.22	238	4.09	102	1.75	153	2.63	94

uwagę profesor Zdziechowski). Nie pomylił się więc staruszek, komu ma powierzyć pracę o Garczyńskim, ale efekt przeszedł jego oczekiwanie.

Jako młodzieniec zapalony a niewyrobiony nie umiałem mego zachwytu wyrazić w formie odpowiednio dojrzałej i zrównoważonej. Wyborem kilku tekstów starałem się udowodnić talent pisarski Garczyńskiego, kilku krytyków, których zdanie o Garczyńskim zdołałem poznać, nazwałem bez ogródek idjotami, niedoszłego doktora obrzuciłem całym huraganem zarzutów, o których słuszności i dziś nie wątpię, ale których stylizacja dziś mię przeraża.

Profesor podobno, jak mi mówili koledzy, naprzemian bladł i czerwieniał. Sam znajdował się w rzędzie tych, którzy nie doceniali Garczyńskiego, ale wysłuchał sprawy cierpliwie do końca, wziął moje omówienie do domu, na najbliższem posiedzeniu odpowiedział mi oględnie i umiarkowanie a wkońcu już w domu u siebie przyznał, że pogląd na Garczyńskiego trzeba będzie zmienić i że wobec tego mnie poleca napisanie monografji o Garczyńskim.

Zabrałem się do pracy całą duszą, ale sama praca utknęła u punktu wyjścia; rękopisy poety poprawiał Mickiewicz. Całe zdania, całe utwory niekiedy dawał własne. Pini opublikował te poprawki, ale nie wszystkie. Już te, opublikowane nasunęły mi wątpliwości, co do ich trafności. Niektóre z nich istotnie wygładzały i polepszały, ale inne wręcz psuły sens utworu. Oświadczyłem, że dalsza moja praca bez rękopisów jest niemożliwą, muszę wiedzieć, gdzie kończy się Garczyński a zaczyna Mickiewicz. Podkreśliłem, że zamierzam udowodnić zapomocą tekstów, że Mickiewicz psuł niekiedy sens wierszy Garczyńskiego, że spełniał wobec Garczyńskiego rolę niedźwiedzia, czasem muchę spędził a czasem skórę zdarł.

Kallenbach przyznał mi rację, że teksty do dalszej pracy są niezbędne i wobec konieczności wyjazdu w Poznańskie (nieudałego zresztą, bo rękopisy te gdzieś się w Zubostroniu u p. z Radziwiłłów—Skórzewskiej zawieruszyły) oświadczył gotowość finansowania mej podróży z własnej kieszeni

Podziękowałem mu za tę propozycję i pojechałem za własne pieniądze, ale nie potrafię do dziś dnia oprzeć się głębokiemu dlań podziwowi. Dawać pieniądze na to, aby ktoś z nim samym polemizował i jego własne błędy wykazywał.

Dawać pieniądze komuś, kto przekonanie (które i staruszek podzielał) nazwał w młodzieńczym zacietrzewieniu przekonaniem idjotów...

Dawać wreszcie pieniądze komuś, kto atakował Mickiewicza za to, że nie wziął udziału w powstaniu i to atakował ostro w obecności całego seminarjum a w pracy swojej wyraźnie na porachunek z uwielbianym przezeń Mickiewiczem się przygotowywał, na to wszystko trzeba wielkoduszności, horyzontów i miłości prawdy.

Ale nie na tem jeszcze koniec kallenbachowych zmartwień z moja osobą. Nieszczęście chciało, że postanowił (był to rok czwarty mego pobytu na seminarjum) odczytać z nami filozoficzne szkice ukochanego ucznia Kleinera.

Dostałem pierwszy szkic do omówienia. Kleiner, pierwszorzędny jako filolog, jest zagmatwanym, niejasnym i sprzecznym w sobie, gdy zaczyna filozofować. W formie piekielnie zjadliwej, z całym aparatem porównań i zwrotów usiłowałem zbić poglądy Kleinera, powoływałem się przytem gęsto na różne sformułowania Władysława Natansona, profesora fizyki na Uniwersytecie Krakowskim, wybitnego pisarza i filozofa.

I znowuż mimo, że poglądy moje w smak mu nie poszły, prosi Kallenbach Władysława Natansona, aby udzielił mi posłuchania i stwierdził, czy dobrze interpretuję jego myśli. Zaniósł staruszek Natansonowi książkę Kleinera i postarał się, abym mógł o niej z nim mówić, a dalsze referaty innych kolegów odwołał. Niezależnie od tego radził mi uwagi moje o Kleinerze wydrukować i obiecywał mi urządzić z nim (z Kleinerem) spotkanie, gdy ten przypadkiem znajdzie się w Krakowie.

Milszą mu była prawda niż Kleiner, nawet niż Mickiewicz.

Dlatego dziś, kiedy nazwisko jego w oczach niektórych zaczyna stawać się synonimem wstecznictwa i bronzownictwa uczułem się zmuszonym napisać tych słów kilka, aby w bronzowniku pokazać także poszukiwacza prawdy, poświęcającego dla prawdy tej nawet... samego siebie.

JAN SZTAUDYNGER

RUCH WYDAWNICZY

„Kurjer Poznański" w swoim dziale kultury i sztuki ogłosił (nr. 418) dwa bardzo ciekawe listy Wł. Reymonta do przeora oo. Paulinów w Częstochowe ks. Rejmana z roku 1890 i 1893. W drugim z nich Reymont (25 letni młodzieniec, poczynający karjerę pisarską) deklaruje się jako aspirant do zakonu.

*

W tymże numerze „Kurjer" podaje wiadomość, że K. H. Roztworowski wykończył nowy dramat p. t. „Przeprowadzka". Bohaterem sztuki są dzieci bohaterów „Niespodzianki". Zanosi się jednak na trylogję, autor bowiem pracuje już nad częścią trzecią tego dramatycznego cyklu. „Przeprowadzkę" wystawia we wrześniu teatr krakowski.

*

Zasłużony propagator idei zbliżenia polsko-italskiego, dr. Antonio Menotti Corvi, radca handlowy ambasady Italskiej w Warszawie, napisał po polsku nową pracę p. t. „Ustrój faszystowski w Italji". W literaturze naukowej zagadnieniu ustroju faszystowskiego w Italji poświęcono obok gruntownych prac, całą powódź mniejszych publikacyj, oświetlających je z różnych kątów widzenia. W Polsce zagadnienie faszyzmu znane jest niedostatecznie, a istniejące o niem publikacje są dziś przeważnie przestarzałe i traktują zagadnienie faszyzmu w sposób niewyczerpujący. Praca dr. Menotti Corvi obejmuje dwa działy. Jeden z nich zawiera treść opisową, drugi — teksty najważniejszych ustaw faszystowskich w tłumaczeniu polskiem. W części opisowej autor zastanawia się nad genezą i ważniejszemi etapami rozwoju faszyzmu, opisuje reformy konstytucyjne, administracyjne oraz społeczne, obrazując organizację korporacyjną państwa faszystowskiego oraz rzucając światło na działalność najważniejszych instytucyj opieki społecznej, ubezpieczeń społecznych i t. p., w części zaś, zawierającej aneksy, znajdujemy przeważnie po raz pierwszy w języku polskim opublikowane teksty ustaw faszystowskich. Całość napisana jest w sposób niezmiernie rzeczowy i zawiera materjał informacyjny, doprowadzony do ostatniej niemal chwili. Należy nadmienić, iż dr. Menotti Corvi jest autorem całego szeregu prac o Polsce i Italji, nie mówiąc o licznych artykułach i rozprawach w prasie fachowej. Najnowsza praca, napisana w sposób zwięzły, przejrzysty i dla wszystkich dostępny, niewątpliwie znajdzie wielu nabywców, którym umożliwi pogłębienie orjentacji w kwestjach, związanych z ruchem faszystowskim w Italji.

TEATR

„GŁUPI JAKÓB" T. RITTNERA

WZNOWIONA obecnie na scenie teatru Narodowego komedja Rittnera należy do wybitnych dzieł dramatycznych w literaturze polskiej. Podziwiać w niej można niepospolity talent autora. Zdecydowany pesymizm jego co do kobiet walczy tu o lepsze z niewiarą w szlachetność pierwiastka ludowego w krwi społeczeństwa. Obu temi ostrzami rzeźbił postać Hani, dziewczyny z ludu, przygarniętej do rodziny szlacheckiej.

Wartość komedji Rittnera polega na doskonałem wypracowaniu szeregu postaci, bardzo bogato uposażonych w rysy charakterystyczne. „Głupi Jakób" pozostanie na zawsze sztuką popisową dla dobrych aktorów i dobrego reżysera.

Mieczysław Frenkiel w roli szambelana Karola budzi podziw mistrzostwem, z jakiem rolę obmyślił. Pani Garczyńska i Broniszówna dobrze nad rolami popracowały. Świetny jest p. Justjan w roli b. oficera austrjackiego i p. Neubelt jako prezes. Talent p. Warneckiego bardzo chlubnie się uwydatnił. Zobaczyliśmy też dawną, dawną znajomą panią Horwath.

Wogóle cała premjera przypomniała czasy przedwojenne, wskrzeszone tak udatnie przez reżysera p. Śliwickiego.

Z.

SZTUKI PLASTYCZNE

KRAJOBRAZ

IMPRESJONIZM w żadnym nie pozostaje stosunku przyczynowym do naturalizmu. Można być impresjonistą i zarazem naturalistą, może nim być także bez śladu naturalizmu. Oba pojęcia należą do różnych szeregów, do różnych zjawisk i różnych podziałów malarstwa. Naturalizm jest wyłącznie przedmiotowym stosunkiem artysty do przyrody, realizm łączy podmiotowość z przedmiotowością widzenia i odczuwania przyrody, a ideizm jest wyłącznie podmiotowem ujmowaniem przyrody. Każde z tych trzech zasadniczych ogniw sztuki może posługiwać się impresjonizmem, albo się bez niego obywać.

W początkach impresjonizmu, wbrew jego nazwie i założeniom, zaliczono go do naturalizmu. Błąd ten powstał z tego powodu, że pierwsi impresjoniści z całą namiętnością odkrywców oddali się studjom nad bogactwem i ruženiem barw, zaniedbując własne wartości duchowe. Było to studjum przyrody, a więc — naturalizm. Jednocześnie jednak oraz następnie zjawiali się impresjoniści o nastawieniu realistycznem, a jeszcze inni — o wyraźnych cechach ideizmu. Korzystali tylko z raz odkrytego skarbca barw, ale w celach całkiem różnych. Mimo to nazwa naturalizmu przylgnęła do nich i wlecze się za nimi, jak biała nić babiego lata.

Trzeba ją jednak odczepić. A teraz czas właśnie potemu, bo impresjonizm, jako rewolucja, jako nowość i jako szkoła — skończył się, a do kultury malarskiej wszedł na stałe nie w postaci doktryny, ale zwyczajnie jako barwne wzbogacenie wzroku i palety. Jego wybujałości, jego natarczywość i fanatyzm — także minęły. Tym sposobem impresjonizm, zupełnie tak samo jak romantyzm, stał się już tylko nazwą historyczną, ściśle do danego czasu przynależną. Mogą jeszcze pojawiać się neo-impresjonizmy i super-impresjonizmy, ale to już należy do konserwatywnych nałogów słownictwa. Rzecz sama, jako szkoła, minęła, a jako treść weszła bez nazwy do barwnego dorobku malarstwa wszelkich kierunków i zawołań.

Odkrycie, którego dokonał impresjonizm, poza samą, olbrzymią wartością kopalń barwnych, a jeszcze większą — zestawień barw, miało dwa skutki najważniejsze. Dało duszy ludzkiej nową, bogatą klawiaturę do wyrażania wzruszeń, przedtem w malarstwie na niemotę skazanych. I, po drugie, na nowe tory pchnęło krajobraz. Ocena owej klawiatury nastąpi nieprędko, bo naprzód musi zjawić się dostateczna ilość talentów malarskich, które na niej grać będą. Jako patrona swego postawią oni Rembrandta, bo on pierwszym był na świecie impresjonistą, chociaż bez nazwy. (Dopiero impresjonizm odkrył w Rembrandcie impresjonistę). Co do krajobrazu, to wszedł on już na nową drogę pod pchnięciem impresjonizmu, a wszystko przemawia za tem, że mimo pauzy twórczej, pójdzie nią dalej. A po nim może i na inne działy malarstwa zejdzie moc do opanowania dziedzictwa impresjonizmu.

Tymczasem krajobraz poszedł już i pójdzie w dalszym ciągu na pierwszy ogień. To mu się należy. Do tego los go przeznaczył, albowiem właśnie krajobraz najbardziej cierpiał, najżałośliwiej dusił się bez barw, jak dusi się człowiek bez tlenu. Impresjonizm wypuścił więźnia na wolność. Więzień, z początku oszołomiony, szalał czas pewien na wolności i swawolił. Teraz jednak uspokoił się i do poważniejszych zwycięstw rozpędu nabiera. Już go nie nęci samo studjum barwne przyrody, już go nie krępuje naturalizm. Z minionej, w czambuł ocenionej przeszłości zaczynają na czoło wysuwać się ideiści impresjonizmu krajobrazowego i ci bezwątpienia nadadzą ton krajobrazowi przyszłości. Będzie to (w najwyższych okazach swoich, oczywiście...) krajobraz nie dla przyrody samej, lecz nadewszystko dla wyrażenia stanów duszy artysty w przedmiotowem oparciu o krajobraz. Do tego dąży każdy wielki twórca, do tego bez środków impresjonistycznych dążył Chełmoński i wielu innych liryków przyrody.

Nawet z punktu widzenia przedmiotowego krajobraz nie godzi się z paletą dawnych szkół malarstwa. Są one dla niego zbyt ubogie, zbyt jednostronne, zbyt uczłowieczone w skali barw, w sposobie ich zestawiania i technicznego używania. Krajobraz przed plenerem pod względem barwy był bardzo nieśmiały, naiwnie ubogi i przeważnie schematyczny. Barwy jego były lokalne, pracowniane, pozbawione powietrza, słońca, oddali, szczegółów charakterystycznych, wzajemnych oddziaływań i przekształceń. Słowem, w dziedzinie barwy, był to krajobraz martwy, bezduszny. W takiem zwierciadle nie mogła przyroda przeglądać się w całym przepychu swoim i świeżości. Malarstwo ją postarzało do tego stopnia, że wreszcie, jako urodzona kobieta, porzuciła je. I słusznie. Dopiero plener ją nieco udobruchał. A impresjonizm — zdobył.

Oskar Wilde powiedział, że dopiero impresjoniści sprowadzili na Anglję jej klimat mglisty. W dowcipnym tym paradoksie ta właśnie tkwi prawda, o której tak niedowcipnie i szeroko tu opowiadam. Malarstwo nie miało środków do przedstawienia wiecznie młodej i pięknej przyrody, więc było tak, jakby jej nie było. Ludzie jej nie widzieli. Zdarzali się jednak poza malarstwem twórcy o wzroku tak czułym, że bez barw umieli malować krajobraz lepiej, niż niejeden impresjonista. Skoro już potrąciliśmy o Anglję, przypomnę Dickensa, którego opisy krajobrazowe przybierają nieraz wytworność i plastykę barw dotykalnych i właśnie techniką impresjonizmu kładzionych. W Polsce poetyckim zwiastunem pleneru był Mickiewicz, a impresjonizmu — Słowacki.

Kto zna przyrodę krajobrazową, a ma zarazem w pamięci owe setki i setki krajobrazów malarskich, które na wystawach naszych rok rocznie się przewijają, ten musi przyznać, że tylko środki, odkryte i zdobyte przez impresjonizm, dają pierwszą podstawę artystyczną i techniczną do odtwarzania i przenikania duszy i piękna krajobrazu. Oddawna już na wystawach naszych bardzo rzadkim w krajobrazie gościem jest impresjonizm. Dlatego nuda i pospolitość panują w krajobrazie współczesnym. Dopiero w „Bractwie św. Łukasza" zjawiło się paru krajobrazistów o temperamencie czysto krajobrazowym, którzy godnie podjęli tradycję impresjonizmu. Nie wiadomo, jak ją rozwiną, jak daleko zajdą, ale z uznaniem przyjąć należy ich odwagę i zdrowy instynkt, który wbrew atmosferze otoczenia wwiódł ich na drogę, dla krajobrazu nowożytnego jedyną. Ponieważ droga ta wyzbyła się ciasnoty doktrynerstwa, więc stała się traktem szerokim i wolnym, nikogo nie krępującym.

Krajobraz w malarstwie polskiem ostatniego dziesiątka lat zubożał i zmanjerował się głównie przez brak pierwiastków duchowych. Stał się wygodnym naturalizmem a w tym charakterze swoim, niejako — szlafrokowym, unika, rzecz prosta, środków i technik impresjonizmu, które nawet w zakresie naturalizmu wymagają dużego, bardzo dużego wydatku energji twórczej i wielkiego nakładu pracy wykonawczej. Odrodzenie krajobrazu może nastąpić tylko pod warunkiem, że wstąpi on w sferę ideizmu, to znaczy — sztuki podmiotowej, dla której przyroda jest przedewszystkiem uprzedmiotowieniem ducha artysty, a dopiero potem — zjawiskiem realnem. W tej sferze krajobraz nie może obyć się bez bogactw, które odkrył impresjonizm, one bowiem są właśnie klawiaturą równającą duszę artysty ze wspaniałością przyrody widzialnej. Dopiero przez to zrównanie dzieło sztuki może stać się podwójnem zwierciadłem, w którem ani przyroda ani duch artysty nie zbrzydną.

Rozważania te nie są na czasie. Pocieszam się tem, że nigdy na czasie nie były i nie będą. Im pilniej człowiek rozgląda się w świecie ludzkim, tem pewniejszy wniosek formułuje, a wreszcie go wypowiada, że, mianowicie, ludzie naogół ani przyrody ani sztuki nie widzą. W przyrodzie widzą tylko

pogodę (wziąć parasol, czy nie brać?), a w sztuce — zależnie od sztuki: — w muzyce pewien hałas dźwiękowy, w poezji — brzęczenie słów, w malarstwie — ten, czy ów przedmiot kolorowy. Wystawy malarskie są rozrzutnem sianem na cztery wiatry, całkiem na wzór przyrody, gdzie z nasion miljona jedno wschodzi przypadkiem, a znów z miljona tych przypadków jedno w dorosłą roślinę wyrasta. Jednak moda chodzenia na wystawy jest bardzo pożyteczna, bo z czego żyłaby Zachęta, a przez jej pośrednictwo — malarja? Gdzieś się jakiś duch kołace, i dla niego to, dla samotnego pokutnika lub weselnika cały ten kram — wystawy, mody, krytyki, spory i rozważania. Czy tak szczupła ilość „ducha" umniejsza wagę całego kramu? O, nie! Bynajmniej. Owszem — powiększa. Więc mówmy dalej, a raczej skończmy przyjaźnie, skończmy, bo już późna godzina.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

DYSKUSJA

Poruszona w „Myśli Narodowej" kwestja języka polskich publikacyj naukowych wywołała żywą dyskusję. W dalszym jej ciągu drukujemy artykuł, nadesłany nam przez prof. uniwersytetu poznańskiego, dr. Mikołaja Rudnickiego oraz odpowiedź p. Beja.

PRAGNĘ poruszyć zagadnienie, omówiona przez Panów Beja („Myśl Narodowa" Nr. 33, str. 520, 17 sierpnia 1930 r.) oraz prof. Jana Tura i prof Władysława Konopczyńskiego w nr. 35. „Myśli Narodowej" strona 533 z dnia 31 sierpnia 1930 r.). Naprzód należy sobie uprzytomnić dokładnie bieg myśli wymienionych autorów:

P. Bej: Jest niezdrowym objawem w naszej nauce, że zbyt wielki odsetek prac uczonych polskich pojawia się w językach obcych; nie można tego objawu nazwać dążeniem do podniesienia autorytetu nauki polskiej zagranicą, ponioważ ten autorytet zależy od wartości naukowej prac, a nie od języka w jakim je wydrukowano; dla informacji obcych można dodawać krótkie *„résumé"* w którymś z języków międzynarodowych; dzisiejsza praktyka wiedzie do tego, że prace uczonych polskich stają się dla Polaków — źródłem obcem. Druk w językach obcych jest powodem, że polskie wydawnictwa naukowe nie są rozkupywane przez Polaków, a skutkiem tego są one stale przedsięwzięciami deficytowemi. Uczeni polscy nie rozumieją, że ambicja narodowa nie pozwala na takie postępowanie.

Prof. Dr. Jan Tur: *„Homo unius linguae"* jest gorszy nawet od *„homo unius libri"*. Inteligent polski lub student, zniechęcający się do nauki dlatego, że źródła jej znajdują się w obcych językach, nie przedstawia wartości dla nauki; drukuje się prace naukowe w obcych językach nie dla popisu, ani dla ambicji, ale dla udostępnienia krytyce wszechświatowej prac polskich, skutkiem czego nawet wroga nam nauka niemiecka musi je cytować, *„résumés"* nie wystarczają, ponieważ *„brevis esse volo obscurus fio"*.

Prof, Władysław Konopczyński: Jest koniecznością, obowiązkiem i chlubą naszą przenikać do myśli naukowej świata, a liczyć na to, że się świat nauczy po polsku — niepodobna; niezawsze jest możliwe drukować po polsku i po cudzoziemsku; propaganda naszych zdobyczy naukowych zagranicą, to nasz narodowy obowiązek.

Jeżeli z całego tego zagadnienia wyeliminujemy t. zw. ambicję narodową, jako rzecz heterogeniczną, t. zn. niemającą nic w zasadzie wspólnego z nauką i z jej rozwojem, to wydaje mi się, że wszystkie myśli, wypowiedziane przez wyżej cytowanych wielce szan. autorów, są słuszne. Chodzi tylko o to, w jakim wypadku i kiedy.

Wydaje mi się, że najlepszym sprawdzianem wartości określonych myśli jest wyciąganie z nich ostatnich konsekwencyj, bo, jak słusznie powiada Sienkiewicz (przez usta Zagłoby): trzeba umieć myśleć generalnie. Wiemy bardzo dobrze, że tę zaletę myślenia posiadał i R. Dmowski i dlatego został zwycięscą w wojnie wszechświatowej 1914 — 1918,

Myśl P. Beja w ostatnich swych konsekwencjach prowadzi do takiej sytuacji: Drukujemy tylko po polsku prace naukowe uczonych polskich, dając krótkie *„résumés"* w języku międzynarodowym, przez co niejednokrotnie stajemy się niezrozumiali. Obca nauka słabo, albo wcale nie zna naszego rozwoju naukowego, skutkiem tego nie cytuje uczonych polskich, a wrogowie nasi pomijają nas zupełnie. W opinji wszechświatowej nie uzyskujemy tych korzyści, którebyśmy mogli mieć, gdyby nauka światowa nasz rozwój naukowy znała. Ale za to nauka polska (— w najlepszym wypadku!) rozkwita bujnie, język naukowy polski się wyrabia coraz bardziej. Dochodzi wreszcie do tego, że uczeni obcy muszą się zapoznawać z nauką polską, uczą się po polsku coraz liczniej, a w ten sposób język polski staje się językiem międzynarodowym. Jest to horoskop daleki, ale ostatecznie możliwy w sprzyjających warunkach.

Myśl Prof. Jana Tura i Wład. Konopczyńskiego: Drukujemy prace uczonych polskich coraz liczniej w obcych językach (po francusku, angielsku, niemiecku, włosku etc.). Każda zdobycz naukowa polska staje się natychmiast własnością „świata", ciągniemy z tego zyski także polityczne, ale przedewszystkiem zyski prywatne dla uczonych polskich w postaci sławy, uznania dla nich i wreszcie korzyści materjalnych. Ale uczeni ci, pisząc ciągle w językach obcych, nietylko nie rozwijają naukowego języka polskiego, ale sami go coraz mocniej zapominają (nawet dziś się to czasem zdarza!). Język polski staje się naukowym kopciuszkiem, każdy inteligent i student z pretensjami naukowemi patrzy nań z lekceważeniem — i popisuje się znajomością języków międzynarodowych... Czybyśmy przypadkiem nie doszli w ten sposób do upadku własnej, polskiej cywilizacji? Wydaje mi się to zupełnie pewne, a przynajmniej wysoce możliwe, bo nauka polska — w ludziach i w teorji t. j. swych wytworach odrywałaby się coraz bardziej od ludu polskiego, któryby poczynał mniemać, że podniesienie na wyższy stopień kultury i oświaty jest równoznaczne ze znajomością obcych języków (— już dziś niekiedy pojawiają się takie przesądy!). Język polski nigdyby się nie mógł stać językiem międzynarodowym, choćby w ograniczonym zakresie, np. słowiańskim.

Obie powyższe ostateczne konsekwencje zostały wyciągnięte w następstwie pewnych milczących założeń, które bynajmniej nie są konieczne np. pierwsze opiera się na założeniu, że nauka polska istotnieby się bujnie rozwijała, a uczeni polscy znaliby doskonale prace obce; druga — że nie byłoby dostatecznego związku życiowego pomiędzy uczonymi Polakami a ludem polskim. O ileby jednak obie powyższe konsekwencje miały się stać istotnie faktami, to osobiście wybrałbym tę, która płynie z postulatów P. Beja. Sądzę nawet, że wszyscy Polacy zrobiliby to samo. Ale tak czyste konsekwencje nie zachodzą w życiu Skutkiem tego kompromis musi być zachowany pomiędzy. postulatami P. Beja oraz PP. Tura i Konopczyńskiego: *et ea facienda et illa non omittenda.* Obecnie język polski ma dużo danych na to, aby się stać językiem międzynarodowym dla świata słowiańskiego i jako jego reprezentant. Jest to skutkiem bolszewickiego nieszczęścia Rosji; mamy szczere współczucie dla ludu i narodu rosyjskiego, ale życie idzie swoim torem i Słowianie potrzebują jednego języka ogólno słowiańskiego, boć przecież trudno, aby tym językiem był język niemiecki, jak to ma miejsce obecnie. Przecież Prezydent Czechosłowacji Masaryk mówił do delegacji I. Zjazdu filologów Słowiańskich w Pradze czeskiej po niemiecku, a pominął język polski... Na szczegół ten warto zwrócić uwagę.

W końcu pragnę zauważyć jeszcze, że „świat" dla naukowców-specjalistów jest pojęciem stosunkowo nader wąz-

kiem. Zazwyczaj ogłasza się prace naukowe w obcych językach dla kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu, nader rzadko dla kilkuset uczonych. Zważywszy ten moment, dochodzimy do pytania: czy nie lepiej specjalne prace ogłaszać po polsku, a później rezultaty swych badań w osobnych książkach w którymś z języków międzynarodowych?

Nie poruszam w niniejszej krótkiej notatce związku, jaki zachodzi pomiędzy bujnością rozkwitu naukowego a używaniem w nauce języka ojczystego. Wypadek, ilustrujący ten związek, zaszedł na przełomie wieków średnich i nowszych. Ale temat ten jest nader obszerny i trudny i poruszyć go będzie trzeba przy innej sposobności.

MIKOŁAJ RUDNICKI

CETERUM CENSEO...

PODNIESIONE przez znakomitych uczonych, prof. J Tura i prof. Wł Konopczyńskiego (w nr. 35 „Myśli Narodowej") zarzuty przeciwko poglądowi memu na konieczność publikowania prac uczonych naszych w języku polskim — zmuszają mnie do ponownego zabrania głosu w tej sprawie.

Zastrzec się pragnę przedewszystkiem, że nie jestem bynajmniej zwolennikiem *„unius linguae"* i podzielam w zupełności słuszną opinję pp. profesorów, że człowiek pragnący naukowo pracować, bez znajomości języków obcych, obejść się nie może. Jeżeli źle zrozumiany zostałem — *mea culpa!* — może nie dość ściśle sformułowałem swe poglądy.

Punktem wyjścia było dla mnie głębokie przekonanie, że inteligent polski (choćby tylko „o pseudonaukowych zachciankach") powinien w oczach polskiego uczonego mieć względy takie chociażby, jak zagraniczny „uczony, który leni się zbogacić poznaniem obcego języka". Jeżeli p. prof. Wł. Konopczyński „dla poznania jednej książki" mógł nauczyć się języka chorwackiego, słuszną jest rzeczą wymagać, aby także i uczony zagraniczny, pragnący korzystać z dorobku naszej nauki, zechciał wprzód zaznajomić się z naszym językiem.

Nie mogę zgodzić się z twierdzeniem p. prof. Konopczyńskiego, że „liczyć na to, że się świat nauczy po polsku—niepodobna". Dlaczego? Wszak to od nas przedewszystkiem zależy.

Zbyt się utarło w psychice naszej mniemanie, że poza uznanemi „w stosunkach naukowych za międzynarodowe" czterema językami żaden inny pretendować nawet nie może do równorzędnej, czy choćby tylko zbliżonej do nich roli. A czyż międzynarodowość owych czterech języków ustalona została mocą jakiejś odwiecznej i niezmiennej umowy?

Tworzyła się ona sama przez się, siłą faktów—w miarę, jak używające języków tych ludy gruntowały swe samopoczucie narodowe, pomnażały dorobek kulturalny i naukowy, wyzwalały się z pod wpływów obcych i wreszcie same oddziaływać zaczynały na bliższych i dalszych (o niższym poziomie kultury) sąsiadów.

Świadomość, że ambicja narodowa stawiana być musi wyżej nawet, aniżeli obowiązek bezpośredniego „przenikania do myśli naukowej świata" występuje dziś na każdym kroku. Żeby nie mnożyć przykładów, ubocznie tylko wspomnę, że— o ile mi wiadomo — cytowane przez p. profesora Tura *„Archives Italiennes de Biologie"* ustąpiły miejsca wychodzącym w języku włoskim czasopismom: *„Rivista di Biologia"*, i *„Giornale di Biologia e Medicina Sperimentale"*, że Belgja nie zawahała się uniedostępnić cudzoziemcom Uniwersytetu w Gandawie, wprowadzając doń, jako wykładowy język flamandzki, że nawet sowiecka Rosja publikuje dzieła z najrozmaitszych dziedzin wiedzy, wyłącznie w języku rosyjskim.

Przypuśćmy, że nie nauczy się po polsku stara Europa (aczkolwiek udział w Kongresie ku czci Kochanowskiego, kilkudziesięciu uczonych europejskich, doskonale językiem polskim władających, upoważniałby do bardziej optymistycznych w tym kierunku wniosków)—może kiedyś nauczyć się młoda. Że nie stoimy wobec niemożliwości, za droby przykład niechaj posłuży fakt, że nasza młodzież akademicka w międzynarodowych stosunkach na terenie *„Confédération Internationale des Etudiants"* umiała dla języka swego wywalczyć, jako dla czwartego, równouprawnienie z językami francuskim, angielskim i niemieckim.

Co do złośliwych „sąsiadów", przez wzgląd na których p. prof. Tur uważa za konieczne publikowanie prac uczonych naszych w językach obcych (w danym wypadku — w niemieckim)—to nie nabiorą oni przez to większego uznania ani dla nauki naszej, ani dla nas. Conajwyżej zyskają jeden więcej argument na poparcie odwiecznej „tezy" o wyższości kultury niemieckiej nad polską i pochodnym tej ostatniej charakterze. Z drugiej strony i oni potrafią „zrozumieć i ocenić" dzieła tylko w języku polskim wydane — o ile posiadać one będą prawdziwą wartość naukową.

Całkowicie zgadzam się z p. prof. Turem, że w dziedzinie nauki „nie mamy czego się wstydzić". Ale też właśnie dlatego musimy raz wreszcie stanąć do walki na każdem polu, o należne nam miejsce wśród innych narodów.

Za pierwszy krok w tym kierunku uważam twórczość naukową w języku ojczystym, przedewszystkiem *„pro domo sua"*, a nie na eksport.

„Myśli naukowej świata" nie zubożymy w ten sposób, przyzwyczaimy zaś może uczonych i „inteligentów" obcych, by nie „lenili" się poznawać języka polskiego.

BEJ

NA MARGINESIE

Niemcy po wyborach stanęły całkowicie i jawnie na stopie odwetu. Poincaré w „Excelsiorze" pisze: „Na nic się nie zda ukrywać prawdę i zamknąć oczy na rzeczywistość. Rewizja granic nie jest przedsięwzięciem sprawiedliwości i postępu pokojowego. Jest to jedna z najbardziej awanturniczych konspiracyj międzynarodowych. Grozi ona zniszczeniem niezawisłości ludów wolnych, a na ich ruinach przygotowuje nowe i straszne hegemonje".

Jednocześnie z tem alarmowem ostrzeżeniem, mającem przecież na widoku przedewszystkiem Polskę, dzienniki ogłaszają taką wiadomość z Sosnowca:

„Zamęt pojęć w sanacji przybiera wprost groteskowe formy. Kiedy bowiem społeczeństwo zagłębia dąbrowskiego postanowiło urządzić manifestację przeciwko prowokacyjnej mowie Treviranusa i do starostwa w Będzinie zwróciły się pewne organizacje, m. in. Liga morska i rzeczna w Sosnowcu, prosząc o pozwolenie na urządzenie manifestacji, starostwo odpowiedziało, iż pozwolenia udzielić nie może, gdyż monopol na urządzanie tego rodzaju obchodów posiada Federacja obrońców ojczyzny. Podczas manifestacyj niedzielnych rozdawano ulotki Stronnictwa Narodowego, zawierające protest przeciwko zaborczej polityce Niemiec. Stała się rzecz nieoczekiwana: ulotki te zostały skonfiskowane przez policję". („Kur. Warsz.", nr. 253).

A cóż to jest Federacja, a któż to jest p. Górecki, który ją finansuje? Społeczeństwo nie ma do niego zaufania. Nie wyrzeknie się prawa obrony kraju i nie ma żadnej ochoty zawierzać się nieznanym przedsiębiorcom politycznym. Sprawa jest bardzo niejasna.

*

Tego tam nie wiem, jaką przyjaźń z Niemcy macie,
Albo jak daleko sobie dziś ufacie,
To tylko znam, że na was pilne oko mają,
I co rok to się pod was bliżej podsadzają.

(Kochanowski: „Satyr").

*

„Czas" konserwatywny niezadowolony jest z Narodowej Demokracji (Stronnictwa Narodowego), że nie bierze udziału w „krwawych zamieszkach". „Pragnie" ich i „boi się" (Nadzw. wyd. z 15 września) i przypatruje się, jak „socjaliści wyciągają dla niej kasztany z ognia". Konserwatyści z czwartej brygady wpadli już zupełnie w prąd prowokatorstwa. W braku faktów czytają w sercach: pragnie — boi się. Skądże takie informacje? „Czas" niczego nie pragnie, bo wszystkiego się boi, ale mówiąc o kasztanach zaczyna być interesujący.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.